

ROCZNIK II. **1869.** ZESZYT VI.

OJCIEC NIKON.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

(CIĄG DALSZY.)

VI.

Dwa sztandary.

Wózek ojca Nikona całym pędem, na jaki zdobyć się mogły księże koniki, wjechał na podwórze ekonomii. Pan Kociuba, zwyczajem gościnnego gospodarza, usłyszawszy turkot i psów szczekanie, wyszedł na przyjęcie gości, a za nim wysypały się dzieci i z czeladnej izby wyjrzało kilka głów.

— Słychom słychaty!... wydom wydaty!... księże probosczu! — zawołał spotkawszy ojca Nikona, którego ledwie poznał z powodu zmroku, jaki już zapadać zaczynał.

Lecz zamarły mu na ustach wyrazy, gdy za starcem spostrzegł jakieś licho w niemieckich pludrach. Chciał już się cofać i żegnać. Ojciec Nikon wszakże uprzedził go. Szybko pochwycił pana Kociubę za rękę, na bok go trochę odprowadził i kilka słów do ucha mu powiedział.

Pan Kociuba brwi zmarszczył, spojrzał pilnie na Niemca i rzekł półgłosem:

— Toć go przecie znam... Dalibóg bym nie poznał.

— Potrzebuje kilka godzin spokoju do napisania listów, i trzech koni wierzchowych z pewnym przewodnikiem...

— Będzie miał wszystko, a najpewniejszym przewodnikiem będę ja sam...

— Ale pod warunkiem — dodał staruszek — ażebyś go waść i przy ludziach i bez ludzi traktował, jak Niemca doktora...

— Czemuż bez ludzi?

— Temu, żeby się przy ludziach nie zapomnieć...

— Hm... — mruknął pan Kociuba.

Ojciec Nikon odezwał się wówczas głośno, tak żeby go słudzy i dzieci słyszały.

— Spotkałem na jarmarku Niemczyska doktora, a wiedząc, że jejmość dobrodziéjka nie domaga, i któreś z waszmościnych, panie Dymitrze, dzieci na katar choruje, zabrałem go z sobą.

— Nieskończenie jestem asanu dobrodziejowi obowiązany — odpowiedział pan Kociuba... Ale proszę do chałupy.

Wprowadził gościa do serednia i żonie doktora przedstawił, a na stronie jej szepnął, ażeby się postarała o dobrą wieczerzę.

— Nie żałuj aśćka i wystąp, jakbyś wystąpiła, gdyby jaki senator pod naszą strzechę zawitał.

Należało jednakże pierwej, dla oka, odegrać scenę medyczną. Jejmość przeto została wezwaną do lekarskiego egzaminu.

— Co imoszci boli? — zapytał Niemiec.

Zapytanie to było koniecznem, bo pani Kociubina wyglądała jak centofolia i jeżeli chorowała, to chyba ze zbytku zdrowia. Znalazły się tam wszakże dolegliwości

Skarżyła się, że ją spiera, że doznaje kłucia w boku, że na wznak sypiać nie może, że jak się zgina, to trzeszczy jej w krzyżach. Niemiec za puls trzymał i głową kiwał.

— To fielkie szlabości... Pokazala mi języka...

Baba język wywaliła czerwony jak nieupieczony bifsztyk.

— Ph!...

— Jeszcze, mości Niemiec, doznaję niekiedy swędzenia pod prawą łopatką...

— I fięcej nigże?

Pani Kociubina pomyślała przez chwilkę, przypominając sobie.

— I w różnych innych miejscach — odrzekła z przyciskiem.

— I! to nie fielki szlabość... Jak będzie swiędziala, to się będzie drapala, a na innych szlabościów ja bęże jeden recept pisala.

Następnie przyszła kolej na dzieci. Matka jedno po drugiem doktorowi prezentowała i opowiadała mu o różnych symptomach, które jej o ich zdrowie lękać się kazały. Dzieciaki wyglądały jak rybki; symptomata wszakże były nadzwyczajne. Odnosiły się one po większej części do brzuszków i nosków. Doktor na pierwsze, jako środek ogólny, przepisał rumianek i kwiat lipowy, a na drugie ucieranie, a zresztą obiecał napisać receptę.

— Do pisania receptóf potszebuję spokój...

Pan Kociuba przeto wyprawił żonę i dzieci, kazał dwie świec woskowych przysposobić i zniósł wszystek papier czysty, jaki się w domu znalazł, i wszystkie przybory do pisania. Nie była tego zbyt wielka obfitość. Papieru znalazło się arkuszy dwa i jedna ćwiartka.

Niemiec się skrzywił, ujrzawszy taki szczupły zapas.

— Fięcej nie ma?...

— Są jeszcze rejestra gospodarskie, w których jest połowa czystego papieru...

Przyniósł pan Kociuba rejestra i ułożył je na stole.

Atrament trzeba było wodą rozprowadzać, znajdował się bowiem w kałamarzu w stanie suchym, a pióra przyniesiono świeże ze skrzydeł gęsi wyrwane. Kiedy wszystko było gotowe, pojawila się nowa, niespodziana trudność, z którą pisanie stawało się niemożliwem. Nie było czem pióra zatemperować.

— Nie masz waszmość jakiego nożyka?— zapytał ojciec Nikon.

Pan Kociuba przyniósł parę nożów, lecz żaden się nie nadał. Pomyślawszy jednakże przez chwilę, przypomniał sobie o kawałku kosy, który wyostrzony służył do golenia. Ta wyręczycielka brzytwy wyręczyła tym razem wybornie scyzoryk. Pióra zostały potemperowane; pan Kociuba z ojcem Nikonem wynieśli się do dalszej izby i zostawili Niemca samego. Niemiec wydobył z zanadrza różne notatki, rozłożył je przed sobą i zabrał się do pisania. Rozpatrzył się w notatkach; lecz zaledwie złożył pierwszą ćwiartkę i bladym atramentem napisał na niej „Jaśnie wielmożny i mnie wielce miłościwy“, na podwórzu dało się słyszeć mocne psów ujadanie, połączone z turkotem kilku zajeżdżających bryczek.

Pan Kociuba wyskoczył z przyległej izby i zawołał:

— Schroń się, mości Niemiec, do alkierza!

Niemiec się cofnął do przyległej izby, a gospodarz domu wyszedł na spotkanie gości, których klął mocno w duszy, że przed nimi nie mógł tym razem drzwi zamknąć. Myślał jednakże, iż nie długo zabawią. Ale się omylił.

— Przywozimy waszmości chorego imci pana Cholewę... który do domu jechać nie może a w karczmie go zostawić nie było sposobu... — te były wyrazy, któremi do niego, po przywitaniu, jeden z przybyłych przemówił.—Spodziewamy się, że nie odmówisz bratu szlachcicowi obywatelskiej usługi...

Z mężem przyjechała pani Cholewina. Towarzyszyło im na osobnych wózkach kilku sąsiadów i kilka sąsiadek, a oprócz tego kilku jeźdźców widać było na ciemnem tle wieczornego zmroku.

Pani Kociubina wyszła także na spotkanie gości. Rozpoczęły się powitania. Kobiéty całowały się i ściskały z gospodynią domu i o zdrowie ją rozpytywały.

— Lepiej mi, Bogu dzięki... lepiej...

— Czyż było źle? — zagadnęła jedna z sąsiadek.

— P! bardzo było źle... Tak mnie spierało, tak kłuło... ach!... myślałam, że już nie wytrzymam... Było tak źle, że niech pan Bóg broni...

— To tak samo jak mnie — podchwyciła jedna z przybyłych. — Jakieś strzykanie, łamanie...

— A mnie w uszach dzwoni — odezwała się inna.

— A mnie oczy zastępuje — dodała jeszcze inna.

— Cóż sąsiada dobrodziejka na swoją chorobę robiła?... — zapytała pierwsza.

— O ot... ksiądz Nikon, niech mu pan Bóg da zdrowie, przywiózł Niemca doktora... i musi to być doskonały doktor, bo tylko się na mnie popatrzył i niby ręką odjął...

Mężczyźni wprowadzili pod ramiona pana Cholewę, który się słaniał, i posadzili go na łóżku. Wszyscy byli tęgo cięci. Opowiadali panu Kociubie, co w karczmie zaszło.

Nie wiem, czy czytelnik zrozumiałby o co chodzi, gdybym opowiadanie szlachciców własnemi ich powtórzył słowami. Więc to o czem oni gadali, opowiem po swojemu.

Pan Kwaśniewski stał na stole, a szlachta krzyczała:

— Rozsiekać!...

Pan Kwaśniewski ze stoła obejrzał się po izbie, a gdy spostrzegł, że Niemiec znikł, wziął szablę pod pachę i ręcę na piersiach założył na krzyż.

Szlachcice gęby pootwierali. Ci, których szable były już w rozmachu, zatrzymywali je w powietrzu.

— Chcieliście mnie, panowie bracia, rozsiekać — odezwał się Kwaśniewski ze stołu — no...

— Weź szablę w garść! — odpowiedział mu rozkazującym tonem jeden z tłumu.

— Do czego? Gdybyście mnie wyzwali na rękę, to z każdym z was gotów jestem się zmierzyć, ale, że chcecie ze mną nie po szlachecku, a po tatarsku postąpić, to macie mnie... siekajcie brata szlachcica...

— Złaź ze stołu i wychodź przed karczmę — odparto mu chórem — niech cię husiatyńskie śmiecie *mores* nauczy...

— Zlezę i wyjdę; ale pierwej pozwólcie mi wytłumaczyć, że się nie macie za co obrażać, żem was, mościwi panowie, husiatyńskiem śmieciem nazwać się ośmielił...

I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej:

— Albowiem: cóż to jest śmiecie?... jestto to, co na śmiecisku leży... A cóż jest śmiecisko? Zajrzyjcie do historyi onych sławnych Rzymian, co świat zdumiewali wiekopomnemi czynami; przeczytajcie Tacyta, Owidiusza, Cycerona, onych sławnych mężów, których w poźne wieki potomność podziwia, a przekonacie się, że śmiecisko jest nie czem innem, tylko domem rodzinnym, w którym człowiek urodził się, wyrósł i mieszka. Tak mieszkał ony sławny Cincinatus, co kapustę sadził... Tak mieszkacie i wy, mościwi panowie i bracia... *Ergo*, jesteście śmieciem na waszem własnem śmiecisku... śmieciem husiatyńskiem na husiatyńskiem śmiecisku... Moglibyście się przeto obrazić, gdybym był was nazwał po prostu śmieciem. Lecz byłby to dowód, że nie znacie polityki, której wzór wiekopomny złożony jest w historyi Rzymu a świadectwo w pismach mężów, których imiona wymieniłem, gdybyście się obrazili za to, żem was nazwał śmieciem husiatyńskiem. Zrównałem was przez to z Cincinatem...

— Wyprawną ma gębę — odezwał się jeden.

— Ale mówi prawdę — odparł inny.

— Wychodź przed karczmę — krzyknął trzeci — odpowiesz nam łbem za pijaków.

— Cóż to jest pijak? — zapytał ze stołu Kwaśniewski.

— Ten co pije. Czyż wy, mościwi panowie i bracia, nie pijecie? Piją i pijakami bywają monarchowie i najmożniejsi panowie... Więc się obrażacie za to, żem was na równi postawił, nie szukając ani rzymskich ani greckich przykładów, w którychbym znalazł mego Aleksandra Wielkiego, co świat cały podbił, z nieboszczykami królami naszymi z domu saskiego, z wojewodą wileńskim i z wielu innymi mężami!

— Toć, taką rzeczą nas waszmość nie obraził! — odezwał się któryś ze środka.

— Powiedzcież sami: czyż obraziłem? — odparł Kwaśniewski w pytający sposób, wodząc oczami do koła.

— A skórki na buty! — ktoś przypomniał.

— To mi się wymknęło z ust niechcący. A zatem, jeżeli taka wasza wola, rozstąpcie się. Miałem być rozsiekany, będę posiekany. Zawsze to dla mnie wygrana. Wielkie pytanie, czy Cincinatus albo Aleksander Wielki obraziłby się, gdyby mu kto był powiedział: skórka na buty?

Zlazł ze stołu na ławę, z ławy na podłogę i wyszedł przed karczmę. Ale za nim nie wyszedł nikt. W izbie panował gwar. Jedni utrzymywali, że Cincinatus i Aleksander Wielki byliby się obrazili, gdyby ich kto nazwał „skórka na buty“; drudzy byli tego zdania, że byliby się nie obrazili. Wywiązał się z tego powodu spór.

A podczas kiedy ów spór trwał, Kwaśniewski z szablą pod pachą, ze złożonemi na piersiach rękami i ze spuszczoną głową, chodził przed karczmą po drodze, w miejscu przez bryczki i wózki nie zajętem. Oczekiwał na adwersarzy, i zdaje się, pogrążony był w zadumaniu. A może tylko chłodził się jesiennem powietrzem, które kilkostopniowy mróz czynił ostrem.

Po niejakim czasie uwagę jego zwrócił na siebie tententent konia, zbliżający się od strony Husiatyna. Tentent był mocny, ktoś jechał wyciągniętym kłusem. Ten kłus go zastanowił. Nic bowiem w tem nie było dziwnego, że ktoś jechał. W Husiatynie był jarmark, więc się mógł jaki szlachcic spoźnić i wraca do domu. Lecz, ponieważ taki jarmark jak husiatyński kończy się wkrótce po południu, zatem, powodem szlacheckiego spóźnienia nie mogłoby być nic innego, tylko zasiedzenie się u jakiegoś Szmula albo Herszka, a po tego rodzaju zasiedzeniu się, nie mógłby jechać kłusem. Był więc to nie szlachcic.

— Któżby to? — zapytał sam siebie i zatrzymał się.

W pomroku wieczornym pokazał się mu jeździec, który zapewne ujrzawszy przed karczmą drogę zawaloną wozami, ściągnął koniowi cugle. Gdy się z nim zrównał, pan Kwaśniewski krzyknął na niego:

— Stój!

Jeździec się zatrzymał, pochylił się nieco na siodle, jakby dla przypatrzenia się temu, co krzyknął, i z konia zeskoczył:

Był to kozak w barwach dworskich.

Z konia zeskoczył i natychmiast mówić zaczął:

— A ja właśnie za wielmożnym panem gonię śladem...

— Domyśliłem się tego, gdym cię zobaczył. Szczęście, żem cię znalazł na drodze, bo byś minął...

— Byłbym nie minął — odparł kozak. — Pan starosta mi kazał zajrzeć wszędzie po drodze, gdzie się ino szlachta zbierze...

— Z czem jedziesz?

— Z listem do was...

Wydobył z zanadrza wielkości nie przechodzącej kwadratowego cala złożony w kilkoro i zaklejony papierek, i podając go Kwaśniewskiemu mówił:

— Bogu dzięki, żem się go zbył... Od trzech dni jak go mam przy sobie, miałem wciąż duszę na ramieniu...

Maleńki ale jakiś ważneńki; bo pan starosta pod utratą głowy nakazał mi w ręce go wam oddać... i odpowiedź przynieść...

W tej chwili mimo nich przesunął się, szybkim idąc krokiem, dziad z torbami i lirą przez plecy, prowadzony przez chłopczyka. Chłopczyk mu coś szepnął. Dziad rzucił stojącym na drodze wyrazy:

— Pomahaj Bih...

Kwaśniewski i kozak odpowiedzieli jednym głosem:

— Daj Boże zdorowla...

Dziad z chłopczykiem przeszli i znikli za wozami.

— Pan starosta nie kazał ci czego powiedzieć? — zapytał Kwaśniewski.

— Nie... — odrzekł kozak — wyznaczył mi tylko noclegi, na których mogę wielmożnego pana znaleść; nakazał, żebym zaglądał wszędzie, gdziebym spostrzegł, że się szlachta w większej liczbie zebrała, i żebym się w Olchowcu dowiedział do popa...

I dodał:

— A pismo, panie, musi być pilne... bo mi za nie nakazywał i palcem kiwał...

Kwaśniewski obejrzał list. Nie było na niem nadpisu. Otworzył, lecz z powodu ciemności czytać nie mógł. Kazał więc kozakowi poczekać, a sam udał się do karczmy i nie zważając na to, co się tam działo, usiadł za stołem najbliżej jak było można światła, rozłożył przed sobą list, podparł się obydwoma łokciami i czytać począł.

Nie długo czytał, bo list był krótki; jednakże nie odrywał łokci i nie spuszczał z niego oka, bo, widać, nie wiele wyrazów, jakie się na papierze mieściły, dały mu wiele do myślenia.

— Co tam waść czytasz? — zapytał siedzący naprzeciwko szlachcic, palcem na list pokazując.

Kwaśniewski dłonią od niechcenia machnął i odpowiedział:

— At... Na co tam waszmości ta wiadomość! Ciekawość pierwszy gradus do piekła...

— Waszmość się jak nożem odcinasz — rzekł szlachcic głośno — a ot nie wiem, co powiesz na to, ɔ co się tu właśnie spór toczy...

— Co waszmość powiesz na to?—zapytało kilka głosów.

— Na co? — zapytał Kwaśniewski głowy nie podnosząc.

— Czyby się był Cincinatus i Aleksander Wielki obrazili, gdyby kto im powiedział: skórka na buty?

— Byliby się nie obrazili...

— A dla czego? — zawołało kilku razem.

— Dla tego, że za ich czasów ludzie w butach nie chodzili...

— Kwestya? — zarzucił jeden.

— Nie zachodzi najmniejsza — odparł Kwaśniewski. Buty są wynalazkiem poźniejszym, równie jak żupan, kontusz i hajdawery. Wówczas ludzie chodzili w togach, co jak prześcieradła na siebie zarzucali, i w koturnach, co jak trepki do nóg sobie przywiązywali.

Szlachta jednakże na słowa wierzyć nie chciała. Ci zwłaszcza, co utrzymywali, że Cincinatus i Aleksander byliby się obrazili, domagali się dowodów. Zostali wszakże przekonani, gdy Kwaśniewski im powiedział:

— Wszakżeście, waszmoście dobrodzieje, nigdy nie widzieli wizerunku Chrystusa w kontuszu i butach, tylko zawsze w todze i koturnach, a Cincinatus i Aleksander żyli przed Chrystusem.

— Otóż kwestya rozwiązana! — zawołał jeden, rękę podnosząc. Więc... napijwa się...

— Napijwa się! na zgodę!—odpowiedziano mu chórem.

Jejmoście, które od chwili uderzenia panu Cholewie krwi do głowy nie wychodziły z karczmy, i to pomiędzy sobą coś szeptały, to znów każda z osobna mężowi od chwili do chwili jakieś czyniła przedstawienia, na które każdy w odmienny odpowiadał sposób: ten dobrotliwie, ten z gniewem, ten znów z perswazyą, jeden wytłumaczył swojej połowicy, iżby go wzięto za durnia, gdyby się od uczonej dyskusyi uchylał — jejmoście, powiadam, gdy spostrzegły, na co się zanosi, podniosły wielki *clamor:* że poźno, że do domu daleko, że dzieci same zostały. Kobiéce głosy ciągnęły dyszkantem a męskie basem:

— Na zgodę!... Nie godzi się rozstawać na sucho!... Strzemiennego!

Kobiéty umilknąć musiały. Rozpoczęło się strzemienne. W strzemiennem naturalnie i pan Cholewa, który od puszczenia krwi na ławie z obandażowaną ręką o własnych siłach siedział, udział wziąć musiał. Nie długo ono trwało; lecz nie uszło na sucho panu Cholewie. Po piątym czy szóstym wychylonym kuflu, zrobiło mu się słabo. Nie mógł się dźwignąć. Musiano go na bryczkę odnieść i uradzono głosów jednomyślnością odwieść do pana Kociuby.

Oto o czem, podczas kiedy jejmoście z panią Kociubiną o chorobach rozprawiały, jegomości panu Kociubie rozpowiadali.

Rozumie się, nie wszyscy co byli w karczmie, na ekonomią zajechali. Większa połowa pociągnęła do domów. W Olchowcu przyzostało pięć bryczek i trzech konnych. Pomiędzy tymi ostatnimi znajdował się Kwaśniewski.

Jakkolwiek małą była liczba gości, byli oni nie w porę. Państwo Cholewostwo zostawali na noc; innych zaś nietylko gościnność nie pozwalała wypraszać, lecz przeciwnie nakazywała zapraszać, namawiać, błagać, aby nocowali, a przynajmniej, bez przegryzienia czego nie odjeżdżali. Takim jest u nas zwyczaj dziś, takim, tylko w mocniejszym stopniu, był sto lat temu.

Pan Kociuba był zaambarasowany. Słuchał niby opowiadania, a myślał, coby to zrobić, ażeby się gości pozbyć, albo przynajmniej ukryć przed nimi pobyt Niemca doktora, którego notatki pozostały rozłożone na stole.

Lecz próżnym był jego frasunek. Jeszcze on nic wymyślić nie zdołał, a już jejmość wygadała.

— Doskonały — mówiła do sąsiadek — doktor.

Panu Kociubie wpadły w ucho te wyrazy. Obejrzał się i marsem popatrzył na żonę. Utkwił w niej przeszywający wzrok. Chrząkał, chcąc na siebie jej uwagę zwrócić; lecz nadaremnie. Jedna z sąsiadek odrzekła:

— Och! jakżebym ja pragnęła go się poradzić...

A pani Kociubina jej na to:

— On tu jest... w tamtej izbie... z ojcem Nikonem. Zapewne radzi staruszkowi, który już nie domaga.

— O! to ja go tu zawołam... on tu właśnie recepty pisał.

Ukazała ręką na stół, na rozłożone papiery, wstała, otworzyła do przyległej izby drzwi i poczęła prosić:

— Panie Niemiec, chodź waszeć, są tu jeszcze jejmoście chore.

Niemiec nie dał się prosić. Na pierwsze wezwanie pani Kociubiny, posuwiście a szarmancko wysunął do gościnnej izby, usiadłszy obok pań, natychmiast rozpoczął konsultacye, zbierając ze stołu swoje notatki i składając je jedną na drugiej.



Niemiec nie dał się prosić.... (str. 165).

— Och! jakże i ja chciałabym się go poradzić — rzekła druga sąsiadka.

Pan Kociuba zbladł, i jak to mówią, skipiał, gdy usłyszał włożone sobie po cichu w ucho następujące wyrazy:

— Nie lękaj się waszmość... Księdzu biskupowi nic to nie szkodzi, że go ludzie widzą... Nie trzymaj go waść w ukryciu, to gorzej...

Pan Kociuba głową na bok rzucił i odetchnął, gdy poznał, że tym co do niego przemówił, był Kwaśniewski, dworzanin biskupa kamienieckiego. Więc się już nie zaniepokoił następującemi żony słowami:

Na przeciwnej stronie stołu stanął Kwaśniewski a oparłszy się niby od niechcenia ręką, położył nieznacznie list przez kozaka przywieziony i odszedł. Niemiec to spostrzegł, list wziął i słuchając trzech na raz opowiadań o dolegliwościach, jakim podlegały sąsiadki pani Kociubiny, przeczytał. I już więcej nie słuchał, ale począł szybko radzić: tej rumianek na czczo, owej synapizma z kwaśnego ciasta na łydki, innej pijawki za uchem. I nie uważał na gadanie sąsiadów, którzy panu Kociubie opowiadali, że:

— Szelma Niemiec! szlachcicowi życie uratował i nagrody przyjąć nie chciał.

Zerwał się, i zwracając się do pana Kociuby, rzekł:

— Ja ni mam szas... Ja muss noch chora we wsi odwidzala...

Wstał i ojciec Nikon, który usiadł był cicho pod ścianą. Niemiec się zakręcił po izbie, schwycił kapelusz i płaszcz, skłonił się nisko i wraz z księdzem wyszedł.

— Tfu!—splunął jeden ze szlachty—jak w ukropie kąpany... Ilu Niemców widziałem, wszystko tacy... W Lublinie...

I rozpoczął opowiadanie o jakimeś z Niemcem wypadku.

— Prawda... doskonały doktor... — mówiły jejmoście.

A ten, którego się nachwalić nie mogły, na księżym wózku pojechał wprost na probostwo, gdzie, przed wrotami, okryty burką kozak konia oprowadzał, a w czeladnej izbie Oleksa siedział, bajki słuchającym go Jerynce, dziéwce i stróżowi gadał i na popa czekał.

Wysiadających z bryczki ojca Nikona i Niemca spotkała Jerynka. Całującą go w rękę starzec w czoło pocałował i kazał jej światło w izbie przygotować.

Niemiec wziął się do pisania.

— No tu przynajmniej nikt mi nie przeszkodzi — rzekł w krześle siedząc.

Staruszek zostawił go samego.

Upłynęło parę godzin. Ojcu Nikonowi, siedzącemu w czeladnej izbie z wnuczką i Ołeksą, oczy już się poczęły kleić, równie jak i Jerynce; dziéwka za piecem już spała; parobek i stróż także już byli w objęciach morfeusza, gdy z przeciwnej strony dało się słyszeć wołanie:

— Ojcze Nikonie!

Porwał się starzec i krechcąc pospieszył do świetlicy. Kilkanaście listów, w dwóch paczkach, leżało na stole. Niemiec chodził po izbie. Za wejściem ojca Nikona wziął jedną paczkę i podał mu ją.

— To dziad niech rozniesie... Wytłumacz mu ojcze, gdzie który list ma wręczyć... A po to — tu ukazał palcem na drugą paczkę — przyjedzie wkrótce pan Kwaśniewski i zrobi z tem co należy... Zdaje się, że widziałem przed bramą kozaka...

— Czeka przed bramą—odparł ksiądz—na takiem zimnie!

— Cóż robić?

I począł znów chodzić w zamyśleniu.

— Pozwólcie mi jaśnie wielmożny panie — odezwał się ksiądz po chwilce milczenia — słów kilka, tyczących się sprawy publicznej, powiedzieć...

— Mów, ojcze... twój rozum i twoje cnoty dają ci prawo do rady... i bądź pewny, że ją przyjmę z wdzięcznością.

— Dla czegoście wy panowie sprawę polską zrobili sprawą katolicką?

Niemiec zatrzymał się przed popem, brwi zmarszczył i pytającym wzrokiem od stóp do głowy go zmierzył. Ojciec Nikon ciągnął dalej:

— Pamiętam o tem, że mówię do kapłana katolickiego; ale pod sukienką, co waszą eminencyę pokrywa, widzę Polaka, który nie może wyprzeć się rodzonej braci, dlatego tylko, że ona przy innym ołtarzu do Boga się modli, a wyprzeć się jej nie może nietylko przez miłość chrześcijańską, dla której nie masz różnicy pomiędzy dziećmi Izraela a Samaretańczykami, ale i dlatego także, że ci bracia, razem, mogą wydobyć z siebie siły, potrzebne do odbudowania walącego się gmachu ojczyzny. Czemuż nie usunąć różnicy pomiędzy katolikami a niekatolikami?... czemu sprawy polskiej nie zrobić polską?

— Ja ci na to — podchwycił Niemiec — krótko, ojcze odpowiem... Że tu u ciebie jestem w tej chwili, że się tobie zwierzam, jest dowodem, że nie mam wstrętu do prawosławia, iż, niech mi Bóg to przebaczy! bardziej jestem Polakiem aniżeli katolikiem... W gorliwości katolickiej nie powinienbym się zgłaszać do bisurmana, do którego od ciebie wprost jadę... Ale... wszak sam widziałeś materyał do odbudowania Polski!... Zgniły jest i spróchniały. Przypuszczam, ze materyał pługowy, o którym mi w karczmie wspomniałeś, a który obejmuje wszystkich wyznawców kościoła dyzunickiego, jest zdrowszy... Dodajże tę zgniliznę i spróchniałość do tego zdrowia, a zarazisz zdrowie... które ze swojej strony nie jest zdrowiem pełnem, bo nurtuje je zaraza moskiewska...

Tu ojciec Nikon głęboko westchnął.

— Cóż w takiej alternatywie począć? — ciągnął dalej Niemiec. — Jedyny ratunek w dworach zagranicznych, w zainteresowaniu ich tem, czemby Polsce najmniej mogli szkodzić... coby oraz przeszkodziło im porozumieć się z Moskwą i rozszarpać nam Polskę. Tylko w imię katolicyzmu możemy przeciwko Moskwie wzywać cesarstwo niemieckie i królestwo francuzkie; tylko w imię katolicyzmu możemy znaleźć poparcie naszych wezwań u Ojca świętego... Więc też dla tego wywieszamy nad Polską sztandar katolicki... Na widok sztandaru polskiego, niestety! Moskwa, protestanckie i katolickie Niemcy spadłyby na nas, jak kruki na ścierwo... Polska dla nich jest niczem, katolicyzm czemś... Oto ojcze odpowiedź na twoje zapytanie...

Ojciec Nikon powtórnie westchnął głęboko i chciał jeszcze coś mówić, gdy dał się słyszeć na podwórzu tentent koni.

W chwilę poźniej jeden jeździec popędził w stronę Husiatyna, a trzech rzęsistym kłusem przebierało się bocznemi drogami ku traktowi, który na Lanckoronę prowadzi do Kamieńca. Ojciec Nikon pobłogosławił ich z daleka znakiem krzyża świętego, a powróciwszy do izby, padł przed obrazem Matki Zbawiciela na kolana i długo w noc się modlił.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PODCZAS BURZY.

Moc niewidoma wstrząsa przestworza,
Trzęsą się lądy, burzą się morza,
I wre w powietrzu jak w piekle.
Pali się niebo od krwawej łuny,
Ryczy uragan, biją pioruny,
Grzmi przeraźliwie, przewlekle.

Straszne te wichrów szalonych gody,
Gdy rozpasane wpadną na wody,
Na góry, pola i lasy;
Stokroć straszniejsze niż bój żywiołów,
Godne strąconych z nieba aniołów,
Mordercze ludów zapasy.

Jako tygrysy biegną zażarci
Ludzie na ludzi, w gęsty szyk zwarci;
Błyska i błyska broń w ręku,
Lecą pociski jako grad w tuczy,
Dymi się pole, powietrze huczy,
I ziemia w głuchym drzy stęku.

Mord i pożoga pędzą przez pola,
W ślad bieży rozpacz, głód i niewola
I zaraźliwe choroby.
Mściwy najezdnik groźby swe ziszcza,
Spalonych grodów kurzą się zgliszcza,
Szlak znaczą zgliszcza i groby.

Szaleją ludzie jak opętańce —
Z rozkoszą patrząc na dzikie tańce,
Chór potępieńców im wtórzy.
Bóg karze bojem, niszczy złe bojem;
Drzą sprawiedliwi i z niepokojem
Czekają końca tej burzy.

Choć wielki zapał, męztwo gwałtowne,
Nie jedne środki, siły nierówne,
Nieliczne kraju obrońce.
Przeżegnaj Panie! na bojowisku
Wierne twe sługi w śmierci uścisku,
Wywiedź z ciemności na słońce.

PO BURZY.

Po nocnej burzy cisza w przyrodzie,
Czyste wypływa słońce na wschodzie,
Ziemia w brylantach lśni rosy;
Świeżą woń zioną kwietne kobierce,
Wonią powietrze napawa serce,
Chorał na różne brzmi głosy.

I milsza oczom zieloność świeża
Przyrody, zdjętej z boleści krzyża,
I wolniej człowiek oddycha.
Oby po sroższej burzy niż w polu,
Co nas przygniotła Golgotą bolu,
Tak odetchnęła pierś cicha!

Pokój w naturze i pokój w kraju;
Dla przemożonych, wedle rodzaju,
Mieczem zwycięzca go pisze;
To też nie jeden w rodzaju skutek,
Jednym na radość, drugim na smutek,
Na pogrobową brzmi ciszę.

Porozpędzani przez burzę srogą
W tem się odnaleźć życiu nie mogą,
Braknie rodzinom ich wiele:
Matkom i siostrom serce się ściska.
Wieść zabłąkana z pobojowiska
Miesza szczęśliwcom wesele.

Niewolnikowi biada po klęsce!
Nie słyszą jęków twarde zwycięzce,
Podrzeźnia echo u kraty;
Idzie pod cięższe jarzmo niewoli;
A szydząc z smutnej skazańca doli,
Cieszyć się każą mu katy!

Zawitał pokój na urąganie;
Lecz i w ucisku wiara zostanie,
Orędowniczką tam Panna.
Krzyż krzyżowani ujrzą na niebie,
I na dziedzicznej rodzajnej glebie
Zagrzmi pod niebo Hozanna.

J. Zb.

ZAPISKI ETNOGRAFICZNE.

I.

POBRATYMY.

„Noga nogę, a brat brata wspiera.“
Skarga.

Myśleli, że ich nic nie widziało;
Ale ich łąka widziała,
Bladej trzodzie powiedziała;
Trzoda pastuchowi swemu...
Wydana tajemnica. Pieśń serbska. *Przekład Brodzińskiego.*

Pomiędzy ludnościami sławiańskiemi Serbii i Bośni dochowały się aż dotąd niektóre zwyczaje, zasięgające najodleglejszych czasów, przyjęte i uświęcone przez chrystianizm, acz z pogańskich źródeł wychodzą. W liczbie tych zwyczajów celniejsze zajmują miejsce tak zwane *zaślubiny pobratymów.* Jestto rodzaj religijnego wolno-mularstwa, zawiązanego między dwoma lub trzema młodzieńcami, skutkiem którego byty ich są na zawsze połączone z sobą. Pragnący zawrzeć ten związek przychodzą do kościoła i stają przed księdzem; kapłan, przybrany w uroczyste szaty, przymuje ich prośbę u stóp ołtarza, przypomina im, „że pobratymy powinni zachować pomiędzy sobą przyjaźń i wierność, że powinni bronić się wzajemnie i w razie potrzeby jeden za drugiego życie poświęcić.“ Odmawia potem rotę przysięgi, którą powtarzają ślubujący; nakoniec uznaje ich pobratymami i błogosławi ich związek.

Poszanowanie, obudzone świętością tych związków, tak jest wielkie, iż rzadko się kiedy wydarza, aby pobratym obowiązkom swoim uchybił; a wiarołomca, jeźliby odkrytym został, niechybnie straszną odnosi karę. Przerażający tego przykład podały do wiadomości publicznej dzienniki serbskie w 1838. roku.

Trzej młodzi przemytnicy, rodem z Serebenik: Wasil Obrycz, Bojko Jugowicz i Iwo Milanowicz, związali się między sobą w r. 1829. ślubem pobratymów. Od tego czasu żyli z sobą jak najściślej, i czy to wypadło zrobić jaką zbrojną wycieczkę na grunt austryacki, czy bić się z Turkami, żeby się od daniny wyzwolić, nie rozłączali się nigdy; a kiedy przychodziła dla nich pora spoczynku, chronili się razem do wspólnej chaty, ukrytej w czeluściach góry.

W r. 1839. przyszli wszyscy trzej do Zwernika, żeby pohulać na kiermaszu, na który corocznie okoliczni zbiegali się Górale. Napotkali tamże córkę pewnego kramarza, młodziuchną Mrynę, zaledwie szesnaście lat mającą, uderzającej piękności. Nikt od niej rzewniej dum krajowych nie śpiewał, nikt od niej raźniej i wdzięczniej bośniackiego nie wywijał tropaka. Piękność Mryny silne na trzech mołojcach zrobiła wrażenie, i każdy z nich zwierzył się z uczuć swoich towarzyszom. Z tem wszystkiem, to współzawodnictwo nie osłabiło bynajmniej wiążących ich nawzajem związków przyjaźni; zgodzili się więc na to, aby los rozstrzygnął pomiędzy nimi, który z nich ma się odtąd Mrynie zalecać i ojcu się o nią oświadczyć.

Trzej przyjaciele weszli razem do wąwozu na wybrzeżu lasu. Każdy z nich zabił gęś i przywiązał do jej nogi wstążkę odmiennego koloru; złożyli potem gęsi na skale, górującej nad wąwozem, a sami ukryli się w gęstwinie lasu. Niebawem ujrzeli orła, krążącego nad skałą; ociągał się długo, zniżał się wolno, uchwycił wreście jedną z gęsi, ścisnął ją w swoich szponach i zniknął w obłokach. Pobratymy nadbiegli i poznali, że porwana gęś należała do Iwona Milanowicza. Jemu zatem los okazał się przyjaźnym; pozostali dwaj przyjaciele poddali się bez szemrania wyrokowi i nie długo potem Iwo zaślubił Mrynę.

Wesele było huczne i ciągnęło się czas nie mały, i nikt goręcej nie dzielił szczęścia Iwona, jak Wasil i Bojko. Zdawało się, że ostatni z nich szczególniej zapomniał o swojej miłości. Po wszystkich obrzędach i uciechach weselnych trzej pobratymy wrócili w swoje góry; a Wasil i Bojko osiedlili się w sąsiedztwie Iwona i Mryny. Codzień też widywali się z sobą, i nic na pozór nie burzyło ani przyjaźni pobratymów, ani miłości nowożeńców.

A przecież krwawa przygoda wisiała nad ich głowami.

Namiętna miłość Bojka ku Mrynie czasowo się tylko uśpiła; wkrótce ocknęła się z tem większą zapalczywością, a Mryna, występna z swojej strony, uległa. Cudzołożne te związki ciągnęły się przez kilka miesięcy; Iwo nie wiedział o niczem i żadnego podejrzenia nie miał. Z tem wszystkiem Bojko, czylito z obawy, aby prawda na jaw nie wyszła, czyli też dręczony wyrzutami sumienia, oddalił się od swoich kolegów i Mryny, i przyłączył się do bandy Górali, wojującej z Austryjakami. Ale żywot, pełen walk i niebezpieczeństw nie stłumił w sercu jego miłości; korzystając z każdego zawieszenia walki, Bojko powracał w okolicy chaty Iwona, krążył koło niej i jak tylko spostrzegł, że się Wasil i Iwo oddalili, zachodził tajemnie do Mryny.

W ciągu jednej z tych występnych schadzek Bojko zapomniał swego noża w komorze Mryny. Dojrzało go bystre oko Wasila, kiedy z Iwonem powrócił; uchwycił nóż zręcznie i ukrył za pasem, żeby się Iwo nie domyślił czego; a kiedy sam na sam z Mryną pozostał, ukazał jej nóż: „To nóż Bojka — rzecze — a przecież Bojko nie jest już w naszych górach...“ Zmieszana Mryna wybełkotała, że nie pojmuje, zkąd się nóż wziął w chacie, i błagała Wasila, aby podejrzenia w mężu nie obudzał. Wasil przyrzekł, że milczyć będzie, i słowa dotrzymał; jakoż



Cerkiew grecko-unicka. (str. 187). Rysunek Fr. Teppy.

nie zwierzywszy się z niczem przed Iwonem, zasięgał wiadomości od pastuchów, krążących zwykle w okolicy, i powoli z nich wybadał, że Bojko nie raz widywanym był w górach, że kilkakrotnie nawet dostrzeżono, jak się tajemnie z chaty Mryny wymykał.

30. czerwca, równo ze świtem, znaleziono ciało Bojka, rozciągnione przed progiem chaty i przebite kilka razy nożem.

Tegoż samego dnia Wasil Obrycz stanął przed Bejem Serebenika. (Tak zowią naczelnika miasta, jest nim zwykle bośniacki szlachcic). Wyznał, że był mordercą Bojka i odwoływał się do sądu *Starców*, błagając zarazem Beja, aby nie mieszano do tej sprawy Iwona, którego podówczas w domu nie było i który o niczem nie wiedział. Bej, lubo był mahometańskiego wyznania, podobnie jak znaczna część bośniackiej szlachty, nie odesłał sprawy przed *kadego* tureckiego, ale trzymając się starego krajowego zwyczaju zwołał *Radę Starców*, rodzaj sądu przysięgłych, złożonego z trzynastu sędziów, wybranych z pomiędzy najstarszych i najznakomitszych mieszkańców miasta.

Rada zwołaną była w Serebeniku.

Pierwszej niedzieli miesiąca lipca, starcy w liczbie trzynastu zebrali się w kościele, zkąd po wysłuchaniu mszy świętej udali się w pełnym komplecie do sali radnej. Przybywszy tamże, każdy z kolei powiedział swój wiek, a najstarszy mianowany został *Ojcem Sędziów*. Byłto starzec mający 96 lat. Zasiadł na krześle nieco wyżej podniesionem od innych, a po bokach jego umieścili się inni sędziowie. Przed nimi na stole postawiono krzyż drewniany, a ksiądz w ornacie stanął przed radą.

Wprowadzono podówczas obwinionego.

Klęknął przed kapłanem: „Przysięgam przed Bogiem

— rzekł — że żadne kłamstwo nie wyjdzie z ust moich i że prawdę powiem.“ — „Bądź więc przeklęty, jeżeli skłamiesz — odrzekł ksiądz — i mów do tych, których ci Bóg zesłał na sędziów.“ — Wasil powstał i mówił spokojnym głosem:

„Poszanowanie waszemu wiekowi! Poszanowanie waszym siwym włosom, ojcowie! Może i wy również jesteście pobratymami, wiecie zatem, jakie są powinności tego świętego związku. Ja Wasil Obrycz i Bojko Jugowicz byliśmy pobratymami... a przecież, ja Wasil, zabiłem Bojka, mojego brata, i mówię, że nie jestem występny. Boże zachowaj duszę Bojka!... Tak jest, wpadł mi w ręce dowód zbrodni Bojka; zdradził on brata naszego Iwona, zbeszcześcił dom jego! Zgwałcił przysięgę pobratymów i zabiłem go. Ukarzcie mnie ojcowie, ale zachowajcie tę tajemnicę aż do grobu; nie mówcie nic Iwonowi; on tak kocha tę występną kobiétę! A potem, ona jeszcze do cnoty powrócić może, aleby szczęście nie wróciło już do Iwona. Ojcowie, przysłowie powiada, że szczęście jest drzewem, które nie kwitnie dwa razy.“

Ojciec Sędziów: Opowiedz, coś zrobił.

Obwiniony: W wilją dnia tego ujrzałem, jak czarny kruk krążył po nad moją głową, i pomyślałem sobie: Czas jest, abym się pomścił za brata. Udałem się do jego chaty. Mryna była sama. Skoro posłyszała że idę, wybiegła naprzeciw mnie, a radość jej zamieniła się w przestrach, gdy mnie poznała. Kazałem jej wejść napowrót do chaty, sam zaś ukryłem sie za drzewami, rosnącemi blizko chaty. Wkrótce posłyszałem głos Bójka: nucił piosnkę przemytników górskich... Poruczyłem wtedy Bogu duszę wiarołomcy, bo nie chciałem zostawić mu czasu na modlitwę, którejby Bóg nie przyjął... i zabiłem go!... A teraz sądźcie mnie!...

Ojciec Sędziów: I ty kochałeś równie Mrynę; czy nie przez zazdrość zabiłeś Bójka?

Ksiądz: Bądź przeklęty, jeżeli skłamiesz!

Wasil: Tak, kochałem Mrynę i kocham ją dotąd; alem jej nigdy o miłości mojej nie wspomniał, i przysięgam przed Bogiem, że jeżelim zabił Bojka, zrobiłem to nie dlatego, że kochałem Mrynę, ale dlatego, że złamał pobratymów przysięgę, zrobiłem to dla tego, że chciałem dochować mojej...

Wyprowadzono wtedy obwinionego; a ojciec sędziów przemówił do otaczających go sędziów, aby się zastanowili głęboko nad tem, co czynić mają. A potem, po całogodzinnym namyśle w milczeniu, powstali wszyscy z miejsc swoich; najmłodszy ze starców przykląkł przed księdzem pocałował krzyż i rzekł:

„Wasil Obrycz jest niewinny; spełnił powinność prawego pobratyma.“

Każdy z sędziów z kolei przykląkł przed księdzem i powtórzył te same wyrazy.

Tu przywiedziono napowrót Wasila.

Ojciec Sędziów: W imię ludzi, dobrześ zrobił; uwalniam ciebie!

Ksiądz: W Imię Boga, dobrześ zrobił, rozgrzeszam ciebie!

Tegoż dnia, kiedy rada uznawała niewinność Wasila, Mryna odjęła sobie życie, rzuciwszy się w przepaść.

A Wasil i Iwo, wzniósłszy mogiłę, jedną Mrynie, a drugą Bójce, opuścili swoje chaty i poszli zaciągać nową bandę przemytników. Ksawery Godebski.

Awanturnicy w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Pani Smith, która mieszkała w pałacu królewskim, zaprosiła mnie na kolacyę i oznajmiła mi, że król także będzie obecnym. Poszedłem tam i zastałem ku wielkiej mej radości miłego biskupa Krasickiego, abbé'go Guigiotti i trzech czy czterech innych gości, obznajomionych z literaturą włoską.

Król, który nigdy nie był w złym humorze w towarzystwie, i znawcą był literatury, opowiadał anegdoty z wszystkich rzymskich pisarzy, cytował scholiastów z manuskryptów, które mi zamykały usta, a których może król jegomość nigdy nie widział. Ja jeden tylko byłem w złym humorze, a ponieważ nie jadłem był obiadu, jadłem teraz jak ludożerca, odzywając się monosylabnie, jeźli mnie do tego grzeczność zmuszała. Gdy poczęto rozmawiać o Horacym i każdy z obecnych kilka sentencyi zacytował, unosząc się nad filozofią wielkiego „poety rozumu“, zmusił mnie abbé Guigiotti do mówienia, czyniąc uwagę, że jeźli zdania jego nie podzielam, nie powinienem milczeć.

— Jeżeli pan bierzesz moje milczenie za zgadzanie się — rzekłem — to ośmielę się powiedzieć, że co do polityki dworskiej znam lepsze myśli niźli te, które pan cytujesz i które są tylko niedelikatną satyrą.

— Trudnożto pogodzić delikatność z satyrą.

— Nie Horacemu; dla tego tak podobał się Augustowi, co czyni zaszczyt temuż monarsze, który opieką nad uczonymi unieśmiertelnił swe imię i skłonił innych monarchów do współzawodnictwa, gdyż przyjmowali imię jego otwarcie lub skrycie...

Król który przy wstąpieniu na tron przyjął był imię August, spoważniał i zapytał:

— Jacy to monarchowie przybrali imię Augusta skrycie?...

— Pierwszy król Szwecyi, który zwał się Gustaw, które to imię jest anagramem Augusta.

— To śmieszne. Anekdota ta lepsza od wszystkich naszych. Zkąd pan wiesz o tem.

— Z manuskryptu pewnego upsalskiego profesora.

Król począł się śmiać z całego serca, gdyż w ciągu wieczora cytował był także manuskrypta. Gdy się śmiać przestał, zapytał:

— W jakiej, ale nie rękopiśmiennej lecz znanej powszechnie sentencyi Horacego widzisz pan uwagi godną delikatność, która uprzyjemnia satyrę?

— Najjaśniejszy panie! Mógłbym wiele zacytować, ale ograniczę się na jednym przykładzie: *Coram rege*— mówi Horacy — *sua de paupertate tacentes plus quam poscentes ferent.*

Pani Smith, nie rozumiejąc po łacinie, prosiła biskupa o tłumaczenie, a ten je w tych słowach uskutecznił: „Wobec króla więcej osiągną ci, co nie mówią o swem ubóstwie, niż ci, co je głoszą".

Powiedziawszy już tyle milczałem, a król zwrócił rozmowę na Ariosta, i wyraził życzenie, że radby go ze mną czytać. Skłoniłem się i rzekłem z Horacym:

— *Tempora queram.* (Szukam czasu).

Gdy na drugi dzień wychodziłem ze mszy, wetknął mi wspaniałomyślny a tyle nieszczęśliwy król rulon w rękę, właśnie gdym mu dłoń całował i rzekł:

— Pamiętaj o Horacym i nie mów o tem nikomu.

Rulon zawierał dwieście dukatów holenderskich. Spłaciłem zaraz moje długi. Odtąd udawałem się każdego poranku do garderoby króla, gdy się fryzował, podczas czego chętnie rozmawiał z tymi, którzy tylko w tym celu przychodzili, aby go bawić. O czytaniu Ariosta nie było mowy. Umiał on po włosku, ale za mało, aby mówić, a mniej jeszcze, aby poznać się na wielkim poecie. Gdy pomyślę o tym dobrym monarsze, o wielkich przymiotach, któremi był wyposażony, nie mogę sobie wytłumaczyć, jak mógł popełniać tak wielkie błędy. Nie najmniejszym pewnie jest ten błąd: że przeżył ojczyznę. Nie mając przyjaciela, któryby go zabił, powinien był zdaniem mojem sam sobie odebrać życie. Nie było zresztą i tego potrzeba, bo gdyby był poszedł za przykładem nieśmiertelnego Kościuszki, byłby wystarczył jeden Moskal, aby go przenieść do nieśmiertelności.

Karnawał był bardzo świetny. Ze wszystkich stron Europy przybywali cudzoziemcy, choćby tylko na to, aby obaczyć szczęśliwego śmiertelnika, który tak niespodzianie został królem. Gdy go kto zobaczył i mówił z nim, musiał przyznać, że nie zawsze szczęście bywa głupie i ślepe. Król lubił się też pokazywać. Widziałem, jak był niespokojnym, gdy się dowiedział, że jest jaki cudzoziemiec w Warszawie, którego jeszcze nie widział. Nikt zresztą nie potrzebywał mu być prezentowanym, gdyż dwór jego otwartym był dla wszystkich, a gdy król ujrzał jakiego nieznajomego, pierwszy do niego przemawiał.

Następujący wypadek zdarzył mi się przy końcu stycznia. Chodzi tu o sen, a ja nie byłem nigdy wolnym od przesądów. Śniło mi się, że przy jakiejś uczcie w dobrem towarzystwie jeden z gości rzucił mi w twarz flaszkę, tak że krew ciekła obficie, poczem ja napastnikowi wpakowałem szpadę w ciało i wsiadłem do powozu, by się ocalić.

Książę Karol Kurlandzki, który w tym czasie był w Warszawie, zawezwał mnie, bym poszedł z nim na obiad do hrabiego Ponińskiego, podówczas ochmistrza kor., który poźniej stał się tak osławionym, został księciem, a w końcu przez kata był piętnowanym. Poniński prowadził wystawny dom i miał miłą rodzinę. Nie składałem mu nigdy wizyty, bo nie był lubiony przez króla i jego rodzinę.

Podczas obiadu pęka butelka szampana, szczerb jeden wpada mi w oko i rozcina żyłę, krew obficie puszcza mi się po twarzy i spływa po sukniach mych a nawet po obrusie. Wszyscy się zrywają, a ja śmieję się z mej przygody. Wprawiło mnie wprawdzie w zdumienie dziwne sprawdzenie się snu, życzyłem sobie jednak szczęścia, że sen w całej swej osnowie się nie sprawdził. Czytelnik obaczy jednak, że i reszta snu sprawdziła się wkrótce.

Panna Binetti, którą zostawiłem w Londynie, przyjechała z swym mężem i baletnikiem Pic do Warszawy. Przybywali oni z Wiednia i jechali do Petersburga. Binetti miała list polecający do księcia, brata króla, który był jenerałem w wojsku austryackim i znajdował się właśnie w Warszawie. Dowiedziałem się o tem wszystkiem u wojewody, w obecności króla, który oświadczył, że chce pannę Binetti zaangażować na ośm dni do baletu za 1000 dukatów.

Pragnąc uwiadomić o tem najpierwszy moją znajomą Binetti, udałem się zaraz do niej nazajutrz. Gdy uradowana wieścią i zdziwiona mojem zjawieniem się rozmawiała ze mną, wszedł książę Poniatowski (Józef) w własnej osobie, aby jej oznajmić wolę króla. W przeciągu trzech dni uaranżowano balet. Tomatis w chęci przypodobania się królowi, urządzał wszystko na wielką skalę.

Binetti podobała się bardzo i została zaangażowaną na rok cały. To nie podobało się bardzo pannie Catai, której Binotti była niebezpieczną rywalką. Tomatis, który ulegał pannie Catai, wyrządzał pannie Binetti mnóstwo przykrości. Mimo to panna Binetti otoczoną była wkrótce zbytkiem i całą rzeszą wielbicieli, między którymi byli stolnik Moszyński i podstoli kor. Branicki, przyjaciel

króla, który mieszkał w pokoju tuż obok apartamentu królewskiego.

Gdy się w balecie popisywały obie rywalki, parter podzielony był na dwa obozy, a ja mimo życzliwości dla Binetti nie mogłem jej klaskać, bo bałem się narazić przyjaciołom panny Catai. Binetti czyniła mi z tego powodu wyrzuty i oświadczyła przy tej sposobności, że się zemści za doznane przykrości na Tomatisie.

Zemsta była następująca:

Ksawery Branicki, podstoli, kawaler orła białego, pułkownik ułanów, młody jeszcze, pięknej powierzchowności, który przez sześć lat służył we Francyi i był przyjacielem króla, był głośnym wielbicielem panny Binetti. Zapewne zwierzyła się ona przed nim z przykrości doznanych ze strony dyrektora teatru Tomatisa i prosiła go, by się za nią ujął. Polak zemścił się istotnie w nadzwyczajny sposób.

Dnia 20. lutego Branicki był na operze i wbrew zwyczajowi swemu poszedł do loży panny Catai, zalecając się jej w obecności Tomatisa, który był już pewny, że podstoli przeszedł do ich obozu. Po skończeniu opery podał Branicki pannie Catai ramię, aby ją odprowadzić do powozu. Tomatis szedł za nimi. Ja byłem właśnie także pod drzwiami, czekając na mój powóz. Gdy Catai wsiadła do powozu, wsiadł z nią także Branicki, i rzekł zdziwionemu Tomatisowi, aby natomiast jechał w jego berlince.

Tomatis rozgniewany odrzekł, że myśli tylko własnym powozem jechać, i prosił pułkownika, aby wysiadł. Branicki nie zważając na to, zawołał na woźnicę, aby jechał, Tomatis z swojej strony jechać mu zakazał. Woźnica usłuchał rozkazu swego pana, Tomatisa, a piękny podstoli musiał wysiąść. Wysiadłszy kazał jednak swemu huzarowi, aby dał w twarz Tomatisowi. Rozkaz ten został wykonany z takim pospiechem i naciskiem, że biedny Tomatis zapomniał o szpadzie, którą miał przy boku. Wsiadł do swego powozu i odjechał. Miałem być na kolacyi u niego, ale po tej strasznej scenie nie miałem odwagi pójść tam. Smutny poszedłem do domu, tak jakby połowa tego policzka mnie się była dostała...[1])

Po dość rozwlekłych refleksyach nad tym wypadkiem, które tu opuszczamy, opowiada Casanowa dalej:

[1]) Dr. S. L. Geret, rezydent toruński przy dworze polskim, tak opowiada w swych Relacyach to zajście: „Podstoli Branicki faworyt króla, kazał świeżo upieczonemu hrabiemu Tomatis, temu directeur des plaisirs, z powodu jakiejś aktorki przez swego strzelca (samemu bowiem jako szlachcicowi polskiemu nie wypadałoby wdawać się z jakimś tam Sabaudczykiem) za 10 dukatów w swojej przytomności dać policzek, tak że Tomatis upadł na ziemię, Branicki leżącego jeszcze na dobitkę kopnął. Król dał Tomatisowi 500 dukatów, żeby tylko hałasu nie robił, będzie on teraz pewnie musiał wyruszać z Polski, bo żaden spiewak ani aktor teraz pod jego zarządem stać nie chce.

Ten Branicki uchodził za kozaka, który się wyniósł, a właściwe jego nazwisko był Branecki. Stawszy się faworytem i poufnikiem króla miał pretensyę do nazwiska i pokrewieństwa rodziny sławnego marszałka, który żył jeszcze. Ten jednakże, daleki od uznania tego fałszywego pokrewieństwa, rozkazał na łożu śmiertelnem, aby tarczę jego herbową strzaskano i z nim razem w grob złożono, i oświadczył, że jest ostatnim potomkiem swego rodu. Cóżkolwiekbądź, wspomniony Branicki oddany był swej partyi duszą i ciałem, stanowił główną podporę dyssydentów i był wrogiem wszystkich tych, którzy nie chcieli się ukorzyć przed Katarzyną i odpierali jarzmo, narzucone przez nią dawnej konstytucyi Polski.

Prowadziłem się w sposób przykładny; nie bawiłem się w romansy i nie grywałem. Pracowałem dla króla w nadziei, że zostanę jego sekretarzem. Dotrzymywałem towarzystwa księżnej wojewodzinie, która mnie lubiła, i grywałem *tre sette* z wojewodą.

4. marca, w dzień przed św. Kazimierzem, w którym przypadały imieniny księcia wiel. podkomorzego kor. i najstarszego brata króla, była wielka uczta u dworu, na którą miałem zaszczyt być zaproszonym. Po uczcie zapytał mnie król, czy pójdę do teatru. Dnia tego dawano po raz pierwszy sztukę w polskim języku. Nowość ta wzbudzała powszechne zajęcie, mnie jednak była obojętną, gdyż nie rozumiałem ani słowa po polsku. Oświadczyłem to królowi.

— Nic nie szkodzi—odparł—chodź pan do mojej loży.

Zaprosiny były zanadto pochlebne, abym mógł odmówić. Usłuchałem i zająłem miejsce za krzesłem króla. Po drugim akcie dano balet, a panna Casacci, Piemontka, podobała się tak królowi, że klaskał, co było nadzwyczajną łaską.

Znałem tancerkę tę tylko z widzenia. Głośnym jej wielbicielem był hr. Poniński, który mi zarzucał, że jej nigdy nie odwiedzam. To sprowadziło mnie na myśl, pójść po balecie do jej loży i powinszować jej oklasków królewskich. Idąc po pod lożę panny Binetti i znalazłszy ją otwartą, wstąpiłem na chwilę. Gdy jednak nadszedł hr. Branicki oddaliłem się i udałem się do panny Casacci.

Właśnie gdyśmy sobie mówili komplementa, wszedł Branicki niespodzianie do loży w towarzystwie podpułkownika Binińskiego[2]). Widocznie przyszedł za mną umyślnie. Po co? aby szukać sprzeczki ze mną, gdyż nie sprzyjał mi. Skoro się ukazał, wstałem, raz z grzeczności, powtóre, aby się oddalić; wstrzymał mnie jednak i rzekł:

— Jak widzę, przyszedłem nie w porę; zdaje się, że pan kochasz się w tej damie?

— Zapewne; nie znajdujeż jej Ekscelencya kochania godną?

[2]) Geret zwie go nie Binińskim ale Ryszewskim.

— W najwyższym stopniu; a co więcej, kocham się w niej sam i nie myślę ścierpieć rywala.

— Skoro wiem o tem, nie będę jej kochać.

— Ustępujesz mi pan tedy?

— Bardzo chętnie, gdyż takiemu panu muszę ustąpić.

— Bardzo dobrze, ale człowiek, który tak ustępuje, wydaje mi się być tchórzem.

— To zanadto! — rzekłem i spozierając dumnie na niego, pokazałem mu rękojeść mej szpady.

Trzech czy czterech oficerów obecnych było świadkami tej sceny.

Nie oddaliłem się jeszcze na cztery nawet kroki od loży, gdy usłyszałem za sobą hańbiące słowa:

— Wenecki tchórz!

Zdobywając się na zimną krew odwróciłem się i rzekłem tonem spokojnym i mocnym:

— Po za teatrem może wenecki tchórz zabić walecznego Polaka.

I nie czekając odpowiedzi udałem się na duże schody, które wiodły do wychodu. Tu czekałem kwadrans na Branickiego w nadziei, że wyjdzie, i że go zmuszę do wydobycia szpady, gdyż nie chciałem znieść tak obelgi jak Tomatis. Po daremnem oczekiwaniu skostniały od zimna, kazałem się zawieźć do wojewody ruskiego, gdzie miał być król. Przez drogę przyznałem, że uczyniłem dobrze, mitygując gniew mój, było mi to nawet przyjemnie, że nie doczekałem się Branickiego na dole, gdyż Biniński, uzbrojony w szablę, byłby mnie mógł zamordować. Chociaż Polacy obecnie dość są gładkich obyczajów, to przecież zachowali wiele z swojej dawnej natury. Są jeszcze sarmatami przy uczcie, na wojnie i w przyjaźni, która raczej jest tyranją tylko.

Nie otrzymałem wprawdzie policzka, ale nazwano mnie tchórzem, postanowiłem starać się o zupełną satysfakcyę, ale szukałem środków umiarkowanych, aby i honor salwować i interesów moich nie narazić.

Chodziło mi i o kozę i o kapustę. W takich myślach udałem się do ks. Czartoryskiego, zdecydowany opowiedzieć wszystko królowi i prosić go, by skłonił swego faworyta do dania mi satysfakcyi.

Skoro wojewoda mnie ujrzał, zaraz mnie zmusił do grania *tre sette*. W grze dopuszczałem się grubych pomyłek. Po drugiej partyi zapytał mnie:

— Gdzież waćpan masz dziś głowę?

— Cztery mile ztąd, łaskawy panie.

Książę rzucił kartami mówiąc:

— Jeźli się gra w przyzwoitem towarzystwie, ma się głowę przy grze.

Byłem mocno zmieszany, a nadomiar złego nadeszła wiadomość, że król nie przybędzie. Usiedliśmy do stołu, ja tuż obok wojewody, który się dąsał bardzo. Wsród kolacyi nadszedł książę Kaspar Lubomirski, który był jenerał-leitnantem w służbie Rossyi, i siadł przypadkiem naprzeciw mnie. Ujrzawszy mnie, wyraził mi kondolencyę z powodu mej awantury.

— Żałuję pana — rzekł — ale Branicki był pijany, a pijany nie może obrazić honorowego człowieka.

— Co się stało? co się stało? — pytano zewsząd.

Milczałem, pytano Lubomirskiego, ale jenerał odwołał się do mego milczenia. Gdy mnie wojewoda zapytał łaskawym tonem, opowiedziałem mu na uboczu całe zajście.

— Miałeś pan racyą, mając głowę ztąd o cztery mile — rzekł do mnie.

— Mogęż prosić o radę Waszej Ekscellencyi?

— W rzeczach, gdzie nic albo wiele stać się musi, nie udzielam rady.

Mądre te słowa były radą bardzo wyraźną. Powróciwszy do domu, myślałem długo nad tem „nic i wiele“ a akceptowawszy „wiele“ ujrzałem, że niema innego wyboru, jak tylko pojedynek na śmierć lub życie, lub gdyby go Branicki nie przyjął, zabicie go, narażając się nawet na szafot. Zdecydowawszy się i mając do zaproponowania pojedynek o cztere mile za Warszawą, po za granicami starostwa, gdyż w obrębie jego pojedynek pod karą śmierci był zakazanym, napisałem następujący bilet, który dosłownie z pozostałego mi bruljonu odpisuję:

Warszawa 5. marca 1766.

Godzina 5. z rana.

Łaskawy panie!

Wczoraj w teatrze zhańbiłeś mnie W. Ekscellencya bez wszelkiego powodu, nie mając do tego ani prawa ani przyczyny. Skoro tak się rzecz ma, więc przypuszczam, że mnie pan nienawidzisz i z księgi żyjących wymazać pragniesz. Mogę i chcę pana zadowolnić. Bądź pan tedy tak grzecznym, łaskawy panie, wziąć mnie swoim ekwipażem i zawieźć mnie na miejsce, gdzie moja klęska nie uczyni pana przestępcą praw polskich, a gdzie i ja będę miał tę samą korzyść, jeżeli mi Bóg pomoże, zabić Waszą Ekscellencyę. Łaskawy Panie! nie czyniłbym Ci tej propozycyi, gdybym nie wierzył w szlachetność twej duszy.

Mam zaszczyt etc.

Wysłałem ten list przez służącego z nakazem, aby go oddał do rąk własnych. W pół godzinę potem miałem odpowiedź nastąpującą:

Mój panie!

Przyjmuję pańską propozycyę, musisz mi jednak oznaczyć, kiedy będę miał honor widzenia go.

Ucieszony wielce odpisuję, że nazajutrz przyjdę do niego o 6. godzinie zrana. Chwilkę poźniej odebrałem bilet, w którym podstoli żądał, abym oznaczył czas i miejsce i aby pojedynek odbył się w ciągu dnia. Gdym mu posłał miarę mej szpady, 32 cali długości, i oświadczył, że na każde miejsce się zgodzę, napisał mi list wzy-

wający, abym się zaraz udał do niego. Odpowiedziałem, że nie mam czasu, i że nie będę wpierw u niego, dopóki nie odbędzie się pojedynek.

W godzinę poźniej zjawił się u mnie sam Branicki, odesłał swoich towarzyszy, wyprosił moich gości, zamknął drzwi i usiadł na mem łóżku. Nie wiedząc co to ma znaczyć, chwytam za pistolety.

— Nie bój się pan, nie przyszedłem pana zamordować, lecz tylko powiedzieć ci, że jeźli się mam bić, to nigdy nie odkładam na jutro. Będziemy się bić dzisiaj lub nigdy.

(Opuszczamy tu znowu ustęp rozwlekły a bez treści. Ułożono pojedynek nie na szpady lecz na pistolety).

Gdy ten waleczny i bezczelny człowiek wyszedł, przywołałem mego rodaka i przyjaciela Campioni'ego, i wręczając mu pakiet z papierami, poleciłem mu, aby je oddał królowi w razie, gdybym poległ w pojedynku.

Około 3. godziny stanąłem u okna wyczekując Branickiego. Nadjechał on w sześciokonnej berlinie; przodem jechało dwóch pachołków z luźnemi końmi, z tyłu dwóch adjutantów, oficerów huzarskich. Oprócz tego stało jeszcze czterech oficerów za powozem. Zbiegłem na dół i ujrzałem Branickiego w towarzystwie jenerała i strzelca. Branicki ustąpił mi swego miejsca i odjechaliśmy.

Nie pytałem dokąd jedziemy. Milczałem, gdyż w takich chwilach człowiek zagłębia się sam w siebie. Po półgodzinnej zaledwie podróży zajechał powóz przed ogród piękny i stanął. Wysiedliśmy z całem towarzystwem podstolego i udaliśmy się w aleję, która, że to było w marcu, nie miała liści, i na której końcu znajdował się stół kamienny. Na tym stole złożył strzelec pistolety półtorej stopy długości, wagę i rożek z prochem. Wyczyściwszy potem lufy, nabił je silnemi nabojami i położył je w krzyż. Branicki rzekł do mnie:

— Mój panie, wybieraj broń.

Na to zapytał jenerał głośno:

— Mój panie, czy zamyślasz odbyć pojedynek?

— Tak jest.

— Tu się bić nie możecie, jesteście w starostwie.

— To nic nie znaczy.

— To wiele znaczy, nie mogę tu być świadkiem. Mam straż na zamku. Zwiedliście mnie.

— Milcz pan. Ja odpowiadam za wszystko. Winienem satysfakcyę temu panu i muszę mu ją dać.

— Panie Casanova — rzekł jenerał do mnie — tu się pan bić nie możesz.

— Panie jenerale, czemuż mnie tu przywieziono?

— Zdaj się pan na króla, ręczę, że wyda sąd rozjemczy.

— Bardzo chętnie, jeżeli Jego Ekscellencya w obecności pańskiej oświadczy, że żałuje tego co zaszło.

Branicki spojrzał na mnie dumnie i rzekł gniewnym głosem: że przyszedł się bić a nie parlamentować.

Jenerał cofa się na te słowa, ja rzucam moje futro i na wezwanie Branickiego biorę pierwszy pistolet, który mi wpada w rękę. Branicki bierze drugi i zaręcza mi honorem za broń, którą wybrałem.

— Zaraz wypróbuję ją na pańskiej głowie — rzekłem.

Branicki zbladł, rzucił szpadę swemu służącemu i obnażył swą pierś. Ja czynię tożsamo i cofam się na 5—6 kroków w tył, podstoli także; dalej cofnąć się nie mogliśmy.

Widząc, że zabrał pozycyę z pistoletem ku ziemi zwróconym, zdejmuję lewą ręką mój kapelusz i prosząc go, by mnie zaszczycił pierwszym strzałem, nakryłem znowu głowę.

Zamiast zwrócić swój pistolet zaraz do mnie i wypalić, stracił podstoli dwie lub trzy sekundy na to, że się wyciągnął, celował i głowę swą osłonić się starał, kryjąc ją za pistoletem. Ja wznosząc pistolet daję ognia w tej samej chwili do niego, kiedy on strzela do mnie. Tak to się stało, że osoby z sąsiedztwa mówili, iż tylko jeden strzał słyszeli. Uczuwszy ranę w lewej ręce chowam ją do kieszeni, a widząc, że mój przeciwnik pada na ziemię, odrzucam pistolet i biegnę do niego. Jakże się zdumiałem, gdy naraz ujrzałem nad moją głową trzy gołe szable trzech towarzyszy Branickiego, którzy mnie klęczącego nad nim porębać chcieli. Na szczęście Branicki odzyskał przytomność i zawołał głosem piorunującym:

— Dajcie mu pokój!

Głos ten jakby ich zaklął i odstąpili. Zaraz z jenerałem podnieśliśmy podstolego i zawiedliśmy go do gospody, o jakich sto kroków od ogrodu odległej. Branicki szedł pochylony i oglądał mnie uważnie, dziwiąc się, zkąd po białych mych pończochach mogła spływać krew.

Gdyśmy stanęli w gospodzie, rzucił się Branicki w krzesło poręczowe. Rozcięto mu surdut i przekonano się, że kula ugodziła go ciężko pod siódmem żebrem prawego boku. Widok był zatrważający. Zdawało się, że wnętrzności są uszkodzone i że ranionemu śmierć grozi. Branicki rzekł osłabionym głosem do mnie:

— Zabiłeś mnie pan; ratuj się, bo stracisz głowę na szafocie! Jesteś w obrębie starostwa, jestem dygnitarzem koronnym i kawalerem wielkiego krzyża orderu orła białego. Nie trać pan czasu, a jeźli nie masz pieniędzy, weź moją kieskę.

Ciężka jego sakiewka pada na ziemię, ale nie przyjąłem jej. Ucałowałem go w czoło i wyszedłem z gospody. Na drodze nie zastałem ani powozów, ani koni, ani służby. Wszyscy się rozbiegli, jedni za chirurgiem, drudzy za księdzem, inni za krewnymi ranionego. Znalazłem się sam bez szpady, na czystem, śniegiem okrytem polu, nie wiedząc w którą stronę się udać, aby trafić do Warszawy. Szedłem na oślep, gdy naraz spotkałem chłopa z próżnemi sankami. Zawołałem doń: W a r s z a w a i pokazałem mu

dukata. Zrozumiał mnie i nakrywszy grubą płachtą pogonił polskim zwyczajem, to jest galopem.

W niejakiej odległości dostrzegam Pinińskiego, przyjaciela Branickiego, pędzącego co koń wyskoczy z wzniesioną szablą. Widocznie ścigał mnie. Na szczęście nędzne sanie, na których leżałem, nie zwróciły jego uwagi, gdyby się był zwrócił ku nim, byłby ujrzał moją głowę i byłby ją, nie wątpię, ściął jak makówkę. Przybywszy do Warszawy każę się wieźć do pałacu księcia Adama Czartoryskiego, aby tam znaleść schronienie, ale nie zastaję nikogo. Nie tracąc czasu, postanawiam udać się do klasztoru Rekollektów i odprawiam sanki.

Na progu klasztoru dzwonię; furtyan, mnich niemiłosierny otwiera, ale ujrzawszy mnie krwią zbroczonego, chce drzwi przedemną zatrzasnąć. Zwinniejszy od niego, nie dałem mu czasu; kopnięciem nogi obalam go i wpadam do środka. Na krzyk furtyana zbiega się mnóstwo przestraszonych zakonników, oświadczam im, że szukam asylu, i grożę w razie odmówienia. Jeden z nich coś mówi i prowadzą mnie do małej celi, która ma postać więzienia. Dałem z sobą wszystko zrobić, przekonany, że zmienią wkrótce o mnie zdanie. Zażądałem posłańca, aby przywołać mego służącego, chirurga i Campioniego.

Nim przybyli zawołani, pojawił się wojewoda podlaski. Nie miałem nigdy honoru mówić z nim nawet, chciał on się jednak dowiedzieć o szczegółach mego pojedynku. Za chwilę przyszli wojewoda kaliski, książę Jabłonowski, książę Sanguszko i wojewoda wileński Ogiński. Wszyscy oni wyłajali mnichów, że mnie tak źle przyjęli. Otrzymałem zaraz dwa najlepsze pokoje w klasztorze.

Kula, która mnie trafiła, wniknęła pod palcem wskazującym w środek dłoni, i zgruchotawszy pierwszy członek ugrzęzła. Siła jej umniejszoną została metalowym guzikiem mej kamizelki. Chodziło teraz o wyciągnięcie kuli, która mi bardzo dokuczała. Przywołany chirurg, nazwiskiem Gendron, zrobił mi na odwrotnej stronie ręki otwór, tak że miałem teraz ranę podwójną. Podczas gdy odbywała się ta bolesna operacya, opowiadałem cały wypadek towarzystwu, przyczem usiłowałem przytłumić ból srogi. Czego to nie zdoła próżność! Gdybym był sam, byłbym może zemdlał [3]).

[3]) Geret opisuje także ten pojedynek a z opisu tego poznać można najlepiej, jakiej musiał narobić senzacyi w Warszawie. „Wczoraj — pisze Geret pod dniem 6. marca — odbył się tu pojedynek między podstolim Branickim i jakimś Nobili di Venetia, signore Casanova, znanym z napisanego przeciw Wolterowi pisemka. Przebywa on tu z różnemi projektami od pół roku. Przedwczoraj w polskim teatrze poróżnili się a wczoraj strzelali się w Woli. Branickiego strzał drasnął Casanowę w bok i zranił go w lewą rękę. Casanowa zaś przestrzelił na wylot Branickiego, jest on ranny śmiertelnie, dziś jeszcze nie wiem, czy żyje czy umarł. Ten Branicki jest to ulubieniec króla, mówi z nim zwykle po niemiecku (sehr deutsch). Zawieziono Branickiego na sankach do wielkiego podkomorzego koronnego, Casanova zaś jest u Reformatów. Król bardzo zasmucony.

(Dokończenie nastąpi.)

TATARZY NADWOŁŻAŃSCY I KRYMSCY.

Około połowy XIII. wieku ogarnęła całą Europę śmiertelna trwoga. „Bramą narodów“ pomiędzy Uralem i morzem Kaspijskiem, wkroczyły z Azyi w stepy wschodniej Europy dzikie koczownicze hordy i zalały nieprzejrzane obszary krajów aż po Dniepr, rozpuszczając swoje niszczące zagony poza Dniestr i Wisłę. Byli to Mongołowie czyli Tatarzy, którzy właśnie w tym czasie wtrząsnęli swojemi podbojami świat cały. Podbiwszy Kirgizów i Uigurów, zawojował był potężny władca hord tatarskich Dżingischan znaczną część Chin, zburzył wielkie państwo Chorawezmskie i pomknął swoje zagony aż po rzekę Ind. Równocześnie szerzyło Tatarstwo w przeciwnej stronie swoje łupieże po za Wołgę i Don, posuwając się coraz dalej ku zachodowi. Cechowała Mongołów szeroka, śniada twarz, wcale niezarosła, lub lekkim tylko ocieniona porostem; małe iskrzące ślepia, spłaszczony nos, niski wzrost, ale wielka barczystość i nadzwyczajna szybkość i zręczność w ruchach. Strój ich składał się z kożucha wywróconego włosem na wierzch i z kołpaka. Uzbrojenie stanowiły jeden lub kilka łuków i kilka sajdaków pełnych strzał, topór do rozbijania murów, trok do pętania jeńców i nahajka do konia, na którym Tatar niemal całe przepędzał życie. Prowadził tych dzikich synów stepów na Europę fanatyzm, niszcząca pogarda dla wszelkiego stworzenia, które nie jest Tatarem, i wiara, że Mongołom przeznaczono jest zburzyć świat cały, „albowiem powiedziano jest, iżby na niebie był tylko jeden Bóg, a na ziemi tylko jeden chan.“

Jakoż zdawało się istotnie, jakoby ten artykuł wiary tatarskiej zbliżał się ku spełnieniu. Cała Ruś południowa przeistoczyła się w koczowisko hord tatarskich, w pustynne pastwisko tatarskich tabunów; wiele grodów czerwonoruskich i małopolskich, a pomiędzy niemi nawet sam stołeczny Kraków zamieniło Tatarstwo w gruzy i zgliszcze, i wylało się jakoby niszczący strumień lawy przez Szląsk i Morawę do Węgier. Powódź ta, pozostawiając po swoim

wylewie kałuże krwi, stosy niepogrzebanych trupów i kupy zgliszczów, ustąpiła wprawdzie napowrót w stepy czarnomorskie, ale zagnieździwszy się tam trwale, stało się Tatarstwo odtąd na długie wieki straszną plagą krajów wschodniej Europy, mianowicie Rusi i Polski.

W początkach potężni zdobywcy-niszczyciele, przytarci orężem Litwy i Polski, przeistoczyli się Tatarzy następnie w hordę rabusiów, która nie groziła wprawdzie już stałym podbojem sąsiednim krajom, ale wisiała nad niemi nieustannie, jakoby chmura gradowa, grożąc każdej chwili spustoszeniem. Nakoniec w wieku XVIII., wyniszczeni znacznie przez Polaków i Kozaków, nie posiadając warunków do samoistnego bytu, upadli Tatarzy pod ciosami Moskwy i poszli pod jej zelażne jarzmo.

Dzisiejsi Tatarzy, resztki dawnej Złotej ordy Kipczaku, zamieszkują stepy nadwołżańskie i Krym, którego chanowie długie lata po upadku wielkiej monarchii mongolskiej utrzymywali się jeszcze w niezawisłości.

Nadwołżańskie stepy, dawniejsze królestwa Kazań i Astrachan, zaliczają niektórzy geografowie do Europy, jakoby na przekorę przyrodzie, która łączy je najściślej z Azyą. Jedność z Azyą objawia się tam w plastyce ziemi, w roślinności i w faunie. Od północnego podnóża Kaukazu do zachodnich stoków Uralu ciągną się stepowe wyżyny, przedłużenie płaskowyżów środkowej Azyi, uprawiane stale tylko w dolinach nadrzecznych, zresztą porastające lasami stepowych traw, pośród których połyskują tu owdzie słone joziora i kałuże. Północne strony tych obszarów, to właśnie owa brama, którą wylewała Azya swoje hordy na Europę i którą wkroczyli przed wieki Tatarzy, niosąc przed sobą śmierć i zniszczenie, i też do dzisiaj potomkowie ich swobodny w tych stronach wiodą żywot.

Liczbę Tatarów, zamieszkujących stepy nadwołżańskie, podają na 2,000.000 dusz. Dzielą ich na mieszczan, rolników i nomadów. Tatarzy mieszczanie mają we wszystkich większych miastach swoje własne, osobne przedmieścia, słobody, w których rządzą się własnemi, municypalnemi ustawami. Główne ich zajęcie stanowią handel i rzemiosła, a żyjąc oszczędnie i miernie są zazwyczaj zamożni. Cały handel prowadzony karawanami na wielbłądach z Orenburga z Kirgizami do Bucharyi i Chiwy zostaje w rękach tatarskich kupców, którzy prowadzą też znaczną część interesów handlowych Kazania, Astrachanu i wszystkich znaczniejszych miast tamtych stron. Tatarzy nie wdają się w zbyt skombinowane spekulacye, są w przedsiębiorstwach swoich nadzwyczaj ostrożni, i dlatego nie chybiają nigdy, na pewne licząc zyski. Są oni również w posiadaniu największej części fabryk tamtejszych, szczególnie mydła i wyprawy skór, oraz sławnych astrachańskich chałatów. Wieśniacy tatarscy zajmują się uprawą roli, ogrodnictwem, chowem bydła i pszczelnictwem, a przewyższają o wiele chłopów moskiewskich trzeźwością, pracowitością i oszczędnością. Tatarami namiotowymi albo koczowniczymi nazywają te pokolenia tatarskie, które do dnia dzisiejszego koczują w nieprzejrzanych stepach nadwołżańskich, nie mając stałych sadyb. Chów bydła jest oczywiście jedynem ich zajęciem i źródłem utrzymania; konie, bydło rogate i wielbłądy stanowią całe ich mienie. Ich namioty, zwane j u r t a m i, są czworograniaste, a budują je z żerdzi, które okrywają matami oczeretowemi i pilśnią. Jurty są tak lekkie i dają się tak łatwo przenosić, że gdy horda zmienia miejsce obozowiska, nie rozbierają ich wcale, lecz całe ze wszystkiemi sprzętami przewożą na wozach o dwóch kołach.

Niektóre hordy tatarskie, szczególnie w Kazańskiem, przeszły na wiarę chrześciańską, większość jednak wyznaje religią Mahometa. Pośród każdej osady tatarskiej wznosi się meczet czyli moszea z wysmukłym minaretem. W każdej też osadzie jest szkoła. Nauką nie celują jednak Tatarzy bynajmniej, gdyż początkiem i końcem całego wykształcenia jest k o r a n, który Tatarzy poczytują za alfę i omegę ludzkiej wiedzy.

Tatarzy są średniego wzrostu, muszkularni i zażywni. Kształt głowy więcej okrągły, niż owalny, rysy twarzy regularne; małe, czarne oczy zdradzają wiele życia i sprytu; nos orli, włosy ciemne, usta szerokie odsłaniają rzędy regularnych, śnieżnej białości zębów.

Strój Tatarów składa się z lnianej koszuli, na którą wdziewają drugą tegoż samego kroju kolorową koszulę jedwabną, z długich spodeń cycowych i z butów safianowych żółtej lub zielonej barwy. Kończy strój narzucony na wszystko kolorowy chałat z bawełny albo jedwabiu, spięty pasem z takiejże samej materyi. Włosy obstrzygają Tatarzy przy samej głowie, którą przekrywają haftowaną mycką, a na około tej owijają turban, albo wkładają na nią futrzaną czapkę, takę samą jaką noszą kacapy. Słaby zarost na twarzy zostawiają niegolony.

Wszyscy zresztą Tatarzy są wolni. Nietylko, że nie są i nie byli poddanymi pańskimi, jak moskiewscy chłopi, lecz zachowują nawet swoją pierwotną organizacyę. Mają swoich własnych przełożonych, b a s z a l i k ó w, których sami obierają, swoją szlachtę i swoich książąt, m u r z ó w.

Właściwym krajem Tatarów jest jednakże przedewszystkiem Krym. Półwysep ten zasłonięty od południa i południowego wschodu górami, połączony z lądem stałym wąskiem międzymorzem koło Perekopu, w jednej połowie górzysty, w drugiej stepowy, zostawał jeszcze pod panowaniem samowładnych chanów tatarskich, kiedy już wszystkie inne chanaty tatarskie były obalone. To też w Krymie przechowało się do dzisiaj wiele pomników historycznych i pamiątek po Tatarach, a najwięcej w dawnej stolicy chańskiej Bakczyseraju.

B a k c z y s e r a j leży na granicy, gdzie południowe, górzyste okolice Krymu przechodzą w wyniosłe płaskowyże

stepowe. Całe miasto składa się właściwie tylko z jednej ulicy głównej, z którą łączy się z prawej i lewej strony kilka krótkich i wąskich bocznych uliczek. Ze wszech stron zamykają je nagie, prostopadłe prawie skaliste ściany wąwozu, pośród którego położony jest Bakczyseraj. U podnóża tych stoków ciągną się piękne ogrody, ale szczyty ich zjeżone są litemi skałami. Miasto zabudowane jest bez żadnej symetryi, i często wśród ulic zastępują drogę przechodniom olbrzymie bloki skalne, do których poprzylepiane są liche chaty, jakoby gniazda jaskółcze. Nawet główna ulica nie jest ani brukowana, ani zrównana.

A jakże dziwne życie rozwija się w ulicach Bakczyseraju! Wszystko nosi tam już wybitne piętno wschodu, jakobyś nie był w Europie, lecz kędyś w Azyi, w Bagdadzie, albo Damaszku. Prawie każdy dom mieści w sobie sklep, albo warsztat jakiegoś rzemieślnika. Jest tam skład główny wszystkich wyrobów przemysłu tatarskiego bowiem, i tam też koncentruje się handel całego półwyspu. Domy są małe, ściśnięte w gęstych rzędach jedne obok drugich, i nie mają okien. Za to cała ściana frontowa, zbudowana z desek, może być odsuwaną, i bywa też otwierana przez cały dzień dla wpuszczania światła do wnętrza. Cudzoziemiec z zdziwieniem przechodzi temi ulicami nie domów, lecz niejako otwartych pokoi, mogąc każdej chwili zajrzeć do wnętrza domów i przypatrywać się życiu jego mieszkańców. Podobnież i sklepy nie mają ani drzwi, ani okien, lecz także odsuwane ściany, które przed okiem przechodnia odsłaniają odrazu wszystkie zapasy w nich nagromadzone.



TATAR.

Najpiękniejszą ozdobą Bakczyseraju i oraz najwspanialszym pomnikiem dziejowym po jego narodowych władzcach jest dawny pałac chański. Zbudowany on jest po środku miasta, tak że je rozdziela na dwie, mniej więcej równe połowy. Sam główny gmach, wraz ze wszystkiemi przynależnemi doń zabudowaniami, tworzy jedną całość opasaną murem. Jedna tylko brama prowadzi do wnętrza, którą przekroczywszy wstępuje się na największe i najważniejsze podwórze. Podwórze to zamyka z jednej strony wspomniana brama, nad którą rząd moskiewski urządził pokoje gościnne dla zwiedzających Bakczyseraj cudzoziemców, z lewej strony moszea chanów z ich cmentarzem, ocienionym cyprysami, z prawej strony główny gmach, mieszczący w sobie pokoje chańskie, naprzeciw bramy wysoki mur, u którego stóp z marmurowego basenu wysoka wytryska fontana. Właściwy pałac chański zbudowany jest w kształcie równoległoboku. Pod oknami tych pokoi, które sami chanowie zamieszkiwali, wznosi się umyślnie na to usypana terasa, ozdobiona kląbami kwiatów i wodotryskami. Bezpośrednio z tych pokojów prowadzą kręte schody na pierwsze piętro do komnat dawnego seraju. Przez drzwi żelazne sztukaterskiej roboty wstępuje się do głównego przedsionka, z którego prowadzą drzwi

w różne strony do komnat środkowych. Ze ścian wytryska kilka fontan, których wody zbierają się w marmurowych basenach. Każda z tych fontan, każde drzwi, mają podług zwyczaju oryentalnego własne nazwy, z któremi łączą się różne wspomnienia z przeszłości. Uwagę polskiego wędrowca zwraca tutaj przedewszystkiem „fontana łez", związana z tragiczno-romantyczną powieścią o miłości chana Mengli-Gireja do pięknej branki swojej, Polki Maryi Potockiej, której pamięć uwiecznili Puszkin wierszem „Bakcziserajski fontan", a Mickiewicz jednym ze swoich sonetów krymskich. Z przedsionka wchodzi się do ogrodowej sali chanów. Jest ona zbudowana w ośmiokąt i ma pośrodku wspaniałą fontanę, która stu promieniami różnej wysokości spada brylantowym deszczem w wielki basen marmurowy. Za tą salą następuje sala sądowa, w której chanowie podług zwyczaju oryentalnego codziennie sami wymierzali sprawiedliwość. Ma ona troje drzwi: środkowemi wprowadzano winowajców, lewemi wychodzili na wolność ci, których uznano za niewinnych, prawemi wyprowadzano winowajców skazanych na śmierć na plac egzekucyi. Długi szereg komnat, połączonych schodami z kilku salami haremu, a przystrojonych świetnie w guście oryentalnym na przyjęcie carycy Katarzyny II., zajmuje całe prawe skrzydło gmachu.

Naprzeciwko okien doczesnego mieszkania dawnych chanów leży wieczne ich mieszkanie, gdzie do dnia dzisiejszego spoczywają ich zwłoki pod cieniem cyprysów. Cmentarz chański jest niezawodnie najpiękniejszem miejscem w całym Krymie. Tylko kilku chanów mają zupełne mauzolea, innych groby leżą pod gołem niebem. Zamykają je w czworokąt płyty z białego marmuru, napełnione wewnątrz ziemią i ozdobione kwitnącemi krzewami i bukietami kwiatów balsamicznej woni. Płyty od głowy są wyższe i mają napisy, a na szczycie wykute w marmurze turbany. Napisy te są po największej części bardzo poetyczne. Mulah oprowadzający zwiedzających to miejsce cudzoziemców daje charakterystyczne objaśnienia do niektórych grobowców. „Ten grób — tłumaczył on Kohlowi — jest dlatego bez pokrycia, gdyż spoczywający w nim Dewlet-Giraj-chan nie chciał być niczem oddzielonym od wspaniałego nieba, które jest mieszkaniem Boga. Ta winna macica — mówił dalej — zaszczepiona jest na grobie chana Tochtamysza dlatego, że chciał przynajmniej po śmierci dobre wydawać owoce, w które życie jego było bardzo ubogie. Tu pod okapem moszei spoczywa Selim-Giraj-chan, pochowany w tem miejscu z własnego rozkazu, aby ściekająca z dachu moszei woda deszczowa, pochodząca z nieba, opłukała z czasem zwłoki jego ze wszystkich zmaz grzechowych".

Moszea jest najwspanialsza i największa ze wszystkich w całym Krymie. Ściany wewnętrzne są bez żadnych ozdób, tylko nad oknami i drzwiami jaśnieją wypisane złotemi literami sentencye z koranu. Posadzkę okrywa miękki kobierzec, który jest jedyną rzeczą zdradzającą zbytek oryentalny w tym wspaniałym prostotą swoją domu modlitwy.

Stolica dawnych chanów jest zawsze bardzo ożywiona. Po ulicach snuje się ciągle mnóstwo Tatarów już to na małych konikach, już też skrzypiącemi telegami, albo na wielbłądach, które hodują w stepach północnego Krymu. Ściąga się tam dla handlu Tatarstwo ze wszystkich stron półwyspu, a łatwo odróżnić Tatara ze stepów od górala; pierwszy bowiem jest ociężały i powolny w ruchach, drugi przeciwnie zwinny i szybki.

Tatarzy tak w samym Bakczyseraju jakoteż w ogóle w całym Krymie są po największej części zamożni. Główném źródłem ich dochodów jest w okolicach północnych, stepowych, chów bydła rogatego, w okolicach południowych, górzystych, hodowla owiec. Rolnem gospodarstwem na większe rozmiary nie zajmują się wcale, ale za to uprawiają troskliwie ogrodowe rośliny i mają wielkie i piękne sady. Krymskie jabłka z sadów tatarskich słyną w Moskwie i w Petersburgu, jak również wyrabiany przez Tatarów jabłecznik, tak zwany bekmes. Włoskie orzechy i figi stanowią ważny przedmiot handlu.

Oryginalny widok przedstawiają sioła górali tatarskich. Chaty są podobnie jak w naszych wsiach górskich rozpruszone, pobudowane zawsze na stokach pagórków, albo u podnóża skał. Są one bardzo nizkie i opierają się o górę jedną stroną wielkiego, płaskiego dachu tak, że bok góry tworzy tylną ścianę mieszkania, i schodząc ścieżką z góry wstępuje się najprzód na dach, a dopiero z tego kutemi w skale schodami w podwórze obejścia. Dachy te służą do suszenia zboża, owoców i bielizny, a o chłodzie wieczornym zbiera się na dachu swojej chaty cała rodzina, i przyjmuje odwiedziny sąsiadów. Okien oszklonych nie mają; czworoboczne otwory, służące do wpuszczania światła, zamykają na noc albo w niepogodę drewnianemi okiennicami. Wnętrze chaty odznacza się czystością i porządkiem, a pierwsza izba, w której gościnny Tatar przyjmuje swoich gości fajką i czarną kawą, wyścielona jest zawsze dywanem. Wystający dach, wsparty na słupach, tworzy otwarty przedsionek, któremu dodają cienia drzewa figowe i wielkie orzechy włoskie, rosnace niemal przed każdą chatą.

W górskich okolicach nie rzadko znaleść Tatara posiadającego całe góry i wypasającego na suchych łąkach górskich po kilkanaście tysięcy owiec. Pomimo zamożności jednakże, pomimo że rząd moskiewski proteguje Tatarów i toleruje ich religię, zaczynają się oni czuć coraz bardziej obcymi w Krymie, a szczególnie w południowych jego okolicach, gdzie wzdłuż wybrzeży morskich zagęszcza się coraz więcej pałaców i wil magnatów moskiewskich. Tatarzy tamtych stron wyprzedają więc chętnie swoje grunta

i wynoszą się albo w północne stepy, albo częściej za granicę carstwa, do prowincyi tureckich. Ludność tatarska stanowiąca jeszcze zawsze przeważną część całej ludności Krymu, nie powiększa się więc, lecz przeciwnie coraz bardziej rzednieje.

L. T.

SŁOWO BEZ ECHA!

SZKIC POWIEŚCIOWY

PRZEZ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(Ciąg dalszy.)

XXVI.

Resztę godzin nocnych przesiedział Karol na sofie. Co raz jaśniej było już w pokoju. Ciemno-purpurowa smuga rozlała się po niebie i gruby strumień różowego światła rzuciła mu pod nogi.

Karol ocknął się, przetarł czoło i zagasił dopalającą się świecę. Potem otworzył okno, aby ochłodzić sobie powietrze, które wydało mu się nader dusznem.

Pierwsza gorączka jego już przeminęła, potrzeba było chłodniej rozmyślić tę dziwną sprawę.

Najrozmaitsze myśli przychodziły mu do głowy. Najprzód chciał po prostu cofnąć się grzecznie, z wszelkiemi formami przyzwoitości towarzyskiej. Wszak jeszcze nie zobowiązywało go żadne stanowcze słowo. Mógł nawet pod pozorem pilnych interesów wyjechać nad Bug i więcej nie wrócić.

Podobne jednak postępowanie wydało mu się po bliższym namyśle niestosownem. Oznaczałoby to, że na zimno całą sprawę serdeczną traktował, że obojętnie i z wyrachowaniem chciał do ołtarza przystąpić, a gdy rachunek coś nie dopisał, z równą obojętnością od zamysłów swoich odstąpił. Podobne postępowanie powtarza się bardzo często na świecie, a on do takich ludzi należyć nie chciał.

Jeżeli rzeczywiście Jadwigę kochał, i to kochał miłością niepowszednią, każdy zawód w tej miłości powinien był objawić się boleśnie i okazać ranę, którą zadała wiarołomna. Jadwiga powinna widzieć ten ból jego, i uczuć go za karę w trójnasób. Powinien srogim wyrzutem zadać jej wieczną bliznę, i odejść od niej — z pogardą!

Tego chciało serce, takiej zemsty pragnęło.

Ale i ten plan nie wytrzymał krytyki zimiejszej. Gdy wszystkie swoje zażalenia razem zebrał, nie widział w nich dostatecznych powodów takiego postępowania. Wszystko to, o czem dotąd wiedział, i co miał w ręku, mogło dopiero służyć na tak zwany materyał policyjny, ale nie kwalifikowało się bynajmniej do sądowego traktowania. Potrzeba było pewniejszych podstaw, aby tak ważny krok bez wyrzutu sumienia uczynić.

Jakaż jednak droga prowadziła do tych pewniejszych podstaw? Mógł wprawdzie zebrać wszystkie swoje dotychczasowe dowody, przedłożyć je wprost Jadwidze, i z jej zachowania się w takim razie zawyrokować jej winę lub zupełną niewinność. Po bliższem jednak zastanowieniu i ten plan upadł. Była bowiem taka alternatywa: albo Jadwiga jest winną, albo niewinną. Jeżeli jest winną, to jako kobiéta przewrotna mogłaby z zimną krwią wyprzeć się tego nieugruntowanego posądzenia, lub sprytną interpretacyą faktów odebrać skardze wszelki powód. W drugim razie byłaby niewinność jej srodze i boleśnie dotkniętą przez podobne nieuzasadnione podejrzywanie, i nieprzebyta przepaść otwarłaby się tym sposobem między nimi, którąby już nie dozwoliła im zbliżyć się do siebie.

A więc jedno i drugie postępowanie byłoby niestosownem. Prócz tego serce nie pozwalało na żaden stanowczy krok, bo obawiało się utracić to, co kochało namiętnie i co się już zrosło z jego życiem.

Zebrawszy to wszystko razem, przyszedł Karol do tego przekonania, że tutaj nie można żadnych stanowczych przedsięwziąć kroków, ale potrzeba całą rzecz puścić w odwłokę, aby dostatecznie dojrzała. Podczas tego trzeba pilnie wszystko śledzić, aby po pierwszej, zręcznie uchwyconej nitce dójść do kłębka.

Tak postanowił Karol, a to postanowienie uspokoiło go nieco. Kiedy nieszczęśliwy bankrut dowie się o ostatecznym wyroku, na jaką sumę zbankrutował, i w jakich możliwych terminach mógłby ją jeszcze spłacić, sprawia mu to niezawodną ulgę. Według tego urządzi dom i tryb życia i zadawalnia się tem, coby pierwej nieszczęściem nazywał.

W podobnem położeniu był Karol i postanowił stosownie do tego położenia umiarkować przynajmniej na czas niejaki marzenia swoje. Postanowił obojętnie, bez gorączki, o ile to było w jego mocy, śledzić wszystko w koło siebie.

XXVII.

Ranek był ciepły i pogodny. Karol chciał przed śniadaniem użyć świeżego powietrza. Wyszedł na ulicę. Koło

Zygmunta zatrzymał się chwilę i spojrzał na Wisłę. Prześliczny widok odsłaniał się jego oczom. Z Wisły wstawłaa biała mgła i w dziwną, na pół przezroczystą szatę oblekała białe domki Pragi.

Widok ten mimowoli pociągnął go ku sobie. Od Zygmunta skręcił na Zjazd i podążył ku Wiśle. Zatrzymał się przy samym brzegu i ogarnął okiem cały prześliczny krajobraz. Strapione serce jego czuło potrzebę rozlać się gdzieś w nieskończoność, przyczepić się do chmur, zlać się z wiatrem i szybować daleko i wysoko po sinych przestrzeniach...

Po prawej stronie za błękitną wstęgą Wisły mrugały do niego zielone drzewa „Saskiej kępy“, a wierzchołki ich drzały ustawicznie w jasnem, krzyształowem zwierciedle wód wiślanych... Przed nim rozpierzchłe bieliły się domki Pragi, a po nad nie wystrzeliła śmiało kopuła kościółka, jak stracona ludu pobożnego reduta...

Po lewej stronie na pierwszym planie zarysowały się ostro ciężkie mury zamku królewskiego z pnącą się mozolnie do góry wieżycą... poniżej zamku zaczerniał się blaszany dach znanego w dziejach pawilonu „pod blachą“, który tyle dziwnych opowiada powieści... a tam dalej... tam w błękitnawej już perspektywie czerwienią się mury z prostej cegły, po nad niemi strzela mała wieżyczka, jakby nieustanna strażnica... w koło tych murów i tej wieżyczki jakaś dziwna cisza grobowa, jakieś niebo dziwnie jednostajne... to cytadela!

Na ten widok wstrząsł się Karol i wrócił do miasta.

Przechodząc koło hotelu, w którym mieszkał, przypomniał sobie o śniadaniu. Wstąpił do narożnej cukierni, w której niedawno słyszał ciekawą rozmowę o znajomych kobiétach.

Chłopak podał mu herbatę. Wziął pierwszy lepszy dziennik i zaczął czytać. I w dzienniku jakoś nie statkowały litery, tylko zaczęły mu różne psoty wyrządzać. To się kręciły w koło, to chowały się gdzieś na drugą stronę. Odłożył dziennik i zaczął się wkoło po sali rozpatrywać...

Zaraz z początku uderzyła go jedna twarz. Była to twarz tego samego bruneta, który wtedy z taką uwagą patrzał na niego. I teraz schwycił go na gorącym uczynku. Miał na niego zwrócone swoje duże, przenikające oczy. Wprawdzie trzymał w ręku jakąś gazetę francuską, ale jej wcale nie czytał.

Karol zaczął mu się z wielką uwagą przypatrywać. Nieznajomy prawdopodobnie spostrzegł to, bo zręcznie francuskim dziennikiem twarz sobie zasłonił.

Rozciekawiło to Karola. Udał obojętnego, kazał sobie podać cygaro i przeszedł się kilka razy po sali szukając dzienników. Nieznajomy obserwował go z uwagą. Karol czynił to samo. Dla zamaskowania patrzał czas niejaki przez szybę krzyształową na przechodzących ulicą.

Okno to wychodziło właśnie na bramę hotelu. Z bramy hotelu wyszła w tej chwili pani Dormundowa. Za nią okazała się Jadwiga. Z drugiej strony ulicy nadjechał dorożkarz. Obie siadły do dorożki i odjechały.

Kiedy w tej chwili Karol zwrócił oczy z ulicy i powiódł niemi w stronę, gdzie siedział nieznajomy brunet, obaczył go patrzącego z uwagą za odjeżdżającą dorożką. I aby lepiej widzieć, wykręcił nieznajomy głowę w kierunku ulicy i okazał Karolowi swój profil... Był to ten sam profil z firanki...

Na chwilę odurzyło to odkrycie Karola, ale wnet przyszedł do siebie. Nieznajomy bowiem powstał był w tej chwili, rzucił parę dziesiątek za herbatę i szybko wyszedł na ulicę. Przy drzwiach cukierni stała dorożka, jakby na ten cel zamówioną była. Bez żadnego słowa wsiadł nieznajomy do dorożki i kazał prosto jechać w ulicę.

Karol wyszedł także na ulicę i spiesznie obejrzał się za dorożką. Dorożki drugiej w pobliżu nie było. Postąpił kilkanaście kroków mając zawsze na oku pomykającą ku Kopernikowi zieloną dorożkę.

— Stój! — zawołał do nadjeżdżającego z przeciwnej strony dorożkarza— nawracaj prędko i patrz: te konie bułane tam na rogu „królewskiej“... jedź za niemi... o kilkadziesiąt kroków... ale nie spuszczaj z oka!

Dorożkarz zatrzymał konie i zmierzył Karola wzrokiem doświadczonym od stóp do głowy. Zawahał się, chciał coś powiedzieć, poskrobał się w głowę... a konie bułane mknęły co raz dalej!

— Prędko! Jedź! bo cię oddam do cyrkułu!— krzyknął Karol siadając do dorożki.

Zaklęcie na „cyrkuł“, to znaczy policyą, skutkuje zawsze u najkrnąbniejszego dorożkarza.

Dorożkarz rad nie rad z kwaśną miną zaciął konie i pokłusował dalej ku Nowemu-Światu.

— Czy nie znasz numeru tych bułanych koni? — zapytał po chwili Karol.

— Jest kilkanaście dorożek z takiemi końmi — odparł dorożkarz — ale to będzie numer: sto czterdzieści siedm.

I trzasnął biczem na wiatr i uśmiechnął się do patrzącego nań świata z tem zasłużonem zadowoleniem, że ciekawca w pole wyprowadził.

Ale jazda jakoś leniwie szła mu naprzód. Wymijał swoich kolegów ustawicznie z potrzeby i bez potrzeby. Konie widocznie nie chciały go dzisiaj słuchać, jeden rwał się na prawo, drugi na lewo, słowem dorożka wlokła się powoli, a bułane konie ginęły co raz więcej w zakurzonej perspektywie!

— Czemu nie jedziesz prędzej?— krzyknął Karol—dam ci rubla.

— Ej panie, i dziesięć nic nie pomoże! — odparł dorożkarz. — Koniska były dziś trzy razy za Wolskiemi rogatkami!

Koło „trzech krzyży“ już tak się znarowiły szkapy, że biedny dorożkarz już dalej jechać nie mógł. Do tego zawadził o wóz z węglami i potrzeba było się cofnąć.

— Stój niedołęgo! — krzyknął Karol — a rzuciwszy mu kilka złotówek, wyskoczył z dorożki, aby się za lepszemi końmi oglądnąć. Właśnie nadjechał próżny powóz. Karol skoczył do niego.

Dorożkarz pomyślał chwilkę.. Spojrzał za bułanemi końmi, które właśnie weszły w aleę ujazdowską. Była to droga prowadząca albo do ogrodu botanicznego, albo do Łazienek, zwykłego miejsca przejazdek przedobiednych. Od „trzech krzyży“ prowadzi do Łazienek droga boczna, ale bliższa droga ulicą Wiejską. Dorożkarz zaciął konie i puścił się tą ulicą.

I prawdziwie dokazał jakiegoś cudu. Zbiedzone szkapiska wyciągły się jak folbluty angielskie i z wiatrem popiarły ulicą ku koszarom. Zdaje się jakby zrozumiały myśl swego pana i zupełnie ją aprobowały!

Po dziesięciominutowej wściekłej gonitwie dotarły konie do Łazienek i tam zwróciły się w główną aleę.

Na końcu alei spotkały dorożkę o koniach bułanych. Przejeżdżając koło tej dorożki krzyknął dorożkarz do nieznajomego, który siedział w dorożce:

— Strzeż się pan! Zaciął konie i zniknął.

Nieznajomy obejrzał się za dorożkarzem, ale już go nie widział, bo mocny tuman kurzu zasłonił go zupełnie. Kazał woźnicy skręcić na boczną drogę.

Po niejakim czasie okazał się powóz z gniademi końmi. Karol kazał stanąć i wysiadł.

Długo oglądał się po drogach rozstajnych, ale nigdzie nie mógł nic obaczyć. Wreszcie poszedł prosto przed siebie.

Minął most Sobieskiego i zboczył w ustronną ścieżkę. Szedł długi czas tą ścieżką i zdążył w końcu do otwierającej się ku wschodowi polanki. Pod świerkami było kilka ławek, na jednej z nich poznał Jadwigę z matką.

Serce uderzyło mu głośno. Pierwszą myślą jego było pospieszyć do Jadwigi, opowiedzieć jej wszystko, wyspowiadać się przed nią z wszelkich dziwacznych podejrzeń... ale zły duch szepnął mu właśnie co innego do ucha.

Tu za tą ciemną ścianą świerków — szeptał mu obleśnie zły duch—tu dowiesz się najczystszej prawdy, będziesz ją czerpał z pierwszego źródła. Tu obaczysz Jadwigę, jaką jest bez maski.

Wprawdzie zżymało się na to poczciwe serce Karola, zżymał się na to rozsądek i honor prawego człowieka, zżymało się szlachetne sumienie... ale zły duch przemógł! Szalona jakaś zazdrość opanowała w tej chwili całą jego istotę, i nic nie mógł przeciw niej poradzić. Zapaliła się w nim każda fibra, piekła go jak ogniem piekielnym. Nic w tej chwili nie słyszał, nic nie czuł w sobie lepszego nad dziką rozkosz zemsty, z jaką wszystkie tajemnice odkryje, które go tyle życia kosztowały.

Podstąpił z cicha pod ścianę świerków i tam się ukrył.

XXVIII.

Jadwiga siedziała z matką na jednej ławce. Na drugiej o kilka kroków wygrzewał się jakiś emeryt na majowem słońcu. Obok niego, widocznie nie należąca do jego towarzystwa, dumała staruszka.

Karol ulokował się pomiędzy gałęzie jak mógł najwygodniej. Miał przed sobą dwa widoki. Z przodu mógł patrzeć wygodnie na ławkę, na której siedziała Jadwiga z matką, a z boku widział boczną ścieżkę, prowadzącą romantycznie pomiędzy ciemne zarośla.

Matka Jadwigi patrzała smutno przed siebie. Na jej twarzy malowała się bolesna rezygnacya. Jadwiga zaś była nadzwyczaj ożywioną. Oglądała się ustawicznie to w jedną to w drugą stronę, widocznie jakby kogoś oczekiwała. Często wstawała, uszła kilka kroków, schylając się to za tym, to za owym kwiatkiem.

Gdy na nią Karol z ukrycia patrzał, nie mógł powstrzymać jakiegoś rozkosznego uczucia, które na ten prześliczny widok ogarniało serce jego. Jadwiga była podobna w tej chwili do wesołej rusałki, zbierającej wonne zioła na jakieś miłośne psoty. Jej suknia ciemnego koloru odbijała cudownie od jasnej majowej zieleni trawnika, a z pod miękkich fałdów okazał się czasem prześliczny bucik miniaturowych rozmiarów.

Było wiele rozkoszy i ponęty w tym sielankowym widoku, a jednak chwile tej rozkoszy były policzone. Kto wie, czy za chwil kilka nie zmieni się ta scena niewinności dziewiczej, a szkaradna obłuda wystawi brzydkie oblicze swoje, otynkowane bielidłem i różem.

Karol otworzył serce i pełnemi haustami chwytał tę rozkosz zachodzącego szczęścia swego, tak jak skazaniec w przededniu śmierci każe przed siebie stawiać wyszukane potrawy, aby po raz ostatni niemi się nasycić.

W tej chwili na końcu ścieżki okazał się nieznajomy brunet. Karol zadrżał i zamknął serce, bo wkrótce miał dla niego nastąpić straszny wyrok. Wstrzymał oddech i wytężył oczy.

Jadwiga zobaczyła go i z jakąś trwogą obejrzała się w koło. Matka nie zmieniła wcale postawy, patrzyła jak dawniej przed siebie. Tylko emeryt i staruszka obejrzeli się leniwo i wrócili napowrót do swoich kontemplacyi majowych.

Nieznajomy brunet szedł wolnym, odmierzonym krokiem. Spojrzał pobieżnie po ławkach i znowu spuścił oczy w ziemię, jakby był zamyślony. Tak zamyślony przeszedł mimo ławki, na której siedziała Jadwiga z matką, nie popatrzywszy wcale na nie.

Zadziwiło to nie mało Karola. Miałżeby się pomylić? Miałżeby niesłusznie podejrzywać go o tajemniczą znajomość?

Właśnie takie pytania zadawał sobie Karol, gdy nieznajomy skręcił w drugą, uboczną ścieżkę, która przez ciemne zarośla prowadziła tuż koło Karola. Szedł ciągle zamyślony i wcale się nie oglądał. Wreszcie zniknął w zaroślach.

Pani Dormundowa obojętnie patrzyła przed siebie, jakby ją nieznajomy wcale nie obchodził. Kilka razy spojrzała tylko na sąsiedniego emeryta i drzemiącą staruszkę. Jadwiga widocznie niepokoiła się. Oglądała się to w tę to w ową stronę i niecierpliwie nóżką tupała o ziemię.

Wreszcie nie mogła dłużej usiedzieć. Podniosła się z ławki i pobiegła parę kroków za kwiatkiem, który wystrzelił śród trawy. Niedaleko tego kwiatka był drugi jeszcze piękniejszy, a dalej trzeci i czwarty... tam znowu wzleciał prześliczny motylek... Jadwiga w dziecięcych podskokach poszła za motylkiem... motylek uciekał coraz dalej, a uciekał w boczną ścieżkę...

— Mameczko — ozwała się na wstępie do bocznej uliczki — czy pozwoli mi mameczka tego motylka ułowić?

Matka ruszyła głową na znak przyzwolenia i uśmiechnęła się dobrotliwie. Jadwiga weszła do bocznej, ocienionej ścieżki.

Zapomniawszy o wszystkiem innem, radował się Karol tym krótkim lecz uroczym widokiem. Zrywająca kwiatki i goniąca za motylkiem Jadwiga wyglądała cudownie. Jej cała postać, jej ruchy uosobiały istną niewinność. Twarz jej zarumieniła się lekko, ciemne oko paliło się jeszcze jaśniej... Była w tej chwili piękna do zachwycenia.

Zaledwie kilka kroków odprowadził ją rozmarzony Karol w boczną aleę, kiedy na raz jakby zimnym lodem ścisnęło się jego serce. Nieznajomy brunet wrócił się z końca ścieżki i zdążał widocznie do Jadwigi.

Jadwiga, jakby jego chęci odgadła, stanęła za ciemnemi gałęziami świerka, za którym stał Karol. Coraz więcej zaczęło mu braknąć oddechu, a nieznajomy brunet coraz więcej zbliżał się z przeciwnej strony.

Wreszcie zbliżyli się oboje... przywitali się serdecznie i z wielką poufałością... i spiesznie obejrzeli się podejrzliwie...

Karol uczuł w tej chwili, że krew jego ścięła się lodem. Stał jak automat bez woli, bez myśli...

— Zaniepokojono mnie dzisiaj trochę—ozwał się brunet podając rękę Jadwidze — ale to nic. W takiem położeniu to najzwyklejsze słowa mają czasem inne znaczenie dla nas.

— Bój się Boga — szepnęła Jadwiga przyciskając się do jego ramienia — jabym umarła!

— Ale mówię ci, że nic... tylko matce o tem nie wspominaj. Spokój jej nie powinien być niczem turbowany.

— Ach biedna! Ona wiele rzeczy nie wie, które mi tyle bezsennych nocy kosztowały.

— Cóż robić, kiedy tak dziwne i wyjątkowe jest moje położenie.

— Ja, mój drogi, także już nie ręczę za siebie. Są myśli, które mnie tak przygniatają, że tracę wszelką odwagę.

— Przecież od wczoraj nic nowego nie zaszło?

— Wcale nic. Ale od wczoraj do dzisiaj zdaje mi się, że wiek cały upłynął.

— A cóż twój kochany Otello? Czy nic nie wspominał, czy nie domyśla się niczego?

— Ach, poczciwy, niczego się nie domyśla. Kilka razy zaczepił, ale jedno moje słowo uspokoiło go.

— Zaczynam być na prawdę zazdrosnym o ciebie. Tak bezwzględne uczucie jest wielką ponętą dla kobiét.

Zamiast odpowiedzi przytuliła się Jadwiga do ramienia nieznajomego i ciągnęła rękę do oka, jakby łzy ocierała. Kilka chwil trwało milczenie. Nagle odwrócił się nieznajomy i spojrzał po za ścieszkę.

— Zdaje mi się, że ktoś idzie. Spojrzyj, ty masz lepsze oczy — ozwał się po chwili.

Jadwiga patrzała czas niejaki pomiędzy gałęzie świerka. Podobną była do ptaka na czatach.

— To ten stary sąsiad nasz schodzi z ławki... i staruszka się rusza.

— Pójdę tędy. Do zobaczenia. Gdyby mi co przeszkodziło, to w hotelu o dziesiątej.

— Przyjdź, przyjdź. Takie miłe powietrze, szkoda tej zielonej trawy, tego nieba... przyjdź tutaj.

Tu rozeszli się szybko. Emeryt właśnie przechodził koło bocznej alei, z której wychodziła Jadwiga.

— Patrz mameczko — rzekła Jadwiga głośno — jak pięknego motylka ułowiłam sobie. Ale niedobry, musiałam dosyć daleko za nim uganiać. Za to... za to tu puszczę go na wolność. Mój Boże, jakże mu teraz smakować będzie ta wolność.

— Im prędzej go puścisz, tem wdzięczniejszy będzie ci. On nie rozumie twoich pieszczot.

I z dziecięcą swobodą podrzuciła Jadwiga biednego motylka, który już prawdopodobnie przebył wszystkie bole śmierci, wysoko w czyste powietrze. W promieniach słonecznych oprzytomniał biedny niewolnik, poczuł swobodę i rozkosznym lotem zatoczył kilka kręgów wkoło pięknej główki Jadwigi.

Dla Karola był ten piękny widok stracony. I on oprzytomniał teraz z pierwszego ciosu, ale nie czuł tej darowanej co motylek swobody. On słyszał wyrok, straszny wyrok dla wszystkich swoich nadziei.

Kiedy tak jeszcze stał i rozmyślał, a wszelkie myśli uciekały mu z głowy, obaczył znowu nieznajomego bruneta, który z przeciwnej strony ścieżki zdążał ku ławkom, gdzie siedziała matka z Jadwigą. Szedł krokiem pewnym i uśmiechał się do siebie jak człowiek szczęśliwy. Na innych ławkach nie było już nikogo.

— *Bon jour mes dames* — rzekł z daleka dosyć donośnym głosem. Pani Dormundowa przywitała go grzecznie

a nawet z pewną kurtoazyą. Jadwiga z figlarnem wejrzeniem odwzajemniła ukłon.

— *Bon jour* — zawołała głośno — tak długo nie miałyśmy szczęścia oglądać pana.

— Jest to dla mnie nader przyjemnie, słyszeć podobne zdanie od pani. Czas jest słowo elastyczne.

— Pan zawsze bierzesz więcej, niżeli się panu daje — odparła sarkastycznie Jadwiga.

— Jest to najpierwsza i najwyższa zasada ekonomii społecznej.

— *Pardonnez!* Idź pan z tą zasadą na targ za żelazną bramę, a nie wymawiaj ją pan na romantycznej polance w Łazienkach pod świerkami! — odpowiedziała Jadwiga i zaśmiała się serdecznie.

— *Vous avez raison* — mruknął herkulesowy adonis — tutaj będziemy oddéchać eterem i ambrą, jakto pani lubisz. Jestem i w tym względzie skłonny do wszelkich koncessyi, byle tylko pani tego pięknego czoła na mnie nie marszczyła.

— Możebyśmy się trochę przeszli — zaproponowała matka.

Wszyscy zgodzili się na tę propozycyę, a nieznajomy brunet podał rękę pani Dormundowej. Jadwiga przeszła naumyślnie na drugą stronę, aby być bliżej nieznajomego. Wkrótce znikli z widoku.

XXIX.

Karol wyszedł z po za ciemnej, świerkowej ściany i długo patrzał na samotną, zaginającą się na prawo ścieżkę. Na tej ścieżce nie było już żywego ducha. Kilka ptaszków tylko świegotało na gałęziach świerkowych, i mały, wolnością niedawno udarowany motylek uganiał z kwiatka na kwiatek, jakby chciał sobie przebytą trwogę wynagrodzić.

Dla Karola tylko nie było żadnej nagrody. Stał na ścieżce i załamał ręce patrząc przed siebie. Był podobny do wędrowca, który długi czas darł się po cieniach i głogach za błyszczącem w oddali światełkiem. Już, już był bliskim tego światełka, już wyciągnął rękę po niego, gdy nagle rozwarła się przed jego stopami bezdenna przepaść, która go od upragnionego światełka na zawsze rozdzieliła.

Jeszcze stał w tem odurzeniu, jeszcze żadnej jaśniejszej myśli nie powziął, gdy za sobą usłyszał nagle jakieś kroki.

Był to mężczyzna o szerokich, pochyłych barkach. Szedł z głową w ziemię spuszczoną, jakby nikogo nie widział.

— Panie Fedor — zawołał Karol i rozradował się, sam nie wiedział dla czego.

W wielkiem nieszczęściu, pod naciskiem żelaznej ręki nieubłaganego losu, a najbardziej w chwilach najsroższej niepewności, jest człowiek słabym i małoletnim i ogląda się trwożliwie za jakąbądź opieką. Opieki tej i rady szuka u pierwszego lepszego, bez względu, czy na to sobie zasłużył, czy nie.

— Panie Fedor, nie uwierzysz pan, jak w porę pan mi się zjawiasz — mówił Karol podając mu rękę.

Fedor zwrócił do niego swoją szarą twarz, obwiódł go swemi buremi oczyma, a biorąc jego rękę odparł:

— Cieszę się z tego, że odgadłem dzisiaj życzenia pańskie, siadając do dorożki... Przyznam się panu, że to zasługa dorożkarza. Zostawiłem mu zupełnie wolną wolę. Mógł mnie zawieźć gdzie chciał, byle nie za Wolskie rogatki. ...Ale pana zastaję właśnie w tak romantycznem ustroniu... Czy wiesz pan, kto zwykł na tych ławkach siadywać? Ławki te przeznaczeniem swojem odpowiadają owym ławkom ustronnym w Saskim ogrodzie... Czy dzisiaj były puste?

— Nie, wcale puste nie były. Zaczekaj pan, właśnie chcę panu coś opowiedzieć...

— Powiedz mi pan najprzód, czy siedziały jakie ładne, piękne kobiéty... dziewice z ciotkami...

— Siedziały, siedziały... właśnie słuchaj pan.

— Czy był kto przy nich z mężczyzn? Czy młody, czy stary? Brunet czy blondyn?...

Fedor mówił to z żartobliwym uśmiechem. Był w dobrym humorze i miał wielką ochotę pożartować z Karola.

Karol jednak zmarszczył brwi. Wziął Fedora pod rękę, poprowadził do opuszczonych ławek i zaprosił go, aby usiadł.

Gdy usiedli, pomilczał Karol chwilę, przesunął ręką po twarzy, jakby lepiej chciał przejrzeć, i rzekł:

— Nigdy byś pan nie zgadł, jak wiele przebyłem od czasu, gdyśmy się ostatni raz widzieli.

— Czekałem już dawno na to — odpowiedział Fedor z uśmiechem — że pan przyjdziesz do mnie z biuletynem kampanii serdecznej. Ale pan spóźniłeś się. Zdaje się, że teraz przyparła pana jakaś katastrofa... ha, ha, ha! To zwykły finał.

— Szczerze panu wyznaję, że nie jestem wcale usposobiony do żartów. Mówię na seryo.

— O przebacz pan! Ta prześliczna pogoda majowa, ta zielona, świerkami oblamowana murawa usposobiła mię wesoło. I w rzeczy samej, czy śród takiego otoczenia można się czuć nieszczęśliwym?

— Niestety! Jestem bardzo nieszczęśliwym.

— Widzisz pan, jedno słowo zmienia mnie zupełnie. (Tu podał mu rękę). Mów pan, a znajdziesz we mnie szczerego przyjaciela... Widywałem pana od dwóch tygodni w zakątku Saskiego ogrodu z jakiemiś damami, z których jedna okrutnie była ładną. Przyznam się, zazdrościłem panu. Teraz, cóż?

Karol siedział zamyślony czas niejaki. Patrzał przed siebie osłupiałym wzrokiem, jakby się w historyi tych kilka

tygodni lepiej chciał rozpatrzeć. Wreszcie westchnął, zwrócił się do Fedora i rzekł:

— Mówiłeś pan niedawno, że wyobraźnia jest najpiękniejszym darem bożym, i że ją w życiu należycie zużytkować potrzeba. Życie bez snów, bez marzeń, jest życiem bez młodości, jest drzewem, które nigdy nie kwitło. Z tem zgadzam się zupełnie. Ale z drugiej strony zgodzisz się pan ze mną, że taż sama wyobraźnia jest największem nieszczęściem dla człowieka, który w utrapieniu swojem nią się posługuje. Jak lokomotywa trącona naprzód, pędzi naprzód, a trącona w tył, z tą samą szybkością wstecz pędzi po nad urwiska i przepaście — tak samo wyobraźnia podsycona złotemi marzeniami odsłania nam same czarowne widoki, a okryta chmurą nieszczęścia trwoży nas coraz czarniejszemi obrazami. I nie ma rady, aby ją utrzymać.

— Uczyniłeś pan trafne przyrównanie, i piszę się zupełnie na to. W szczęściu wyobraża sobie człowiek same złote góry, w nieszczęściu widzi same przepaście i pełzające w koło potwory, chociaż w istocie tak nie jest.

— Mój panie — podjął żywo Karol — gdyby pańskie słowa były prawdziwe... chociażby cudem jakim.

— Tak jest w istocie — odparł spokojnie Fedor — dla tego zasadą rozsądnych ludzi jest, mieć przyjaciela, przed którym można się zwierzać w szczęściu i nieszczęściu. W obu bowiem razach potrzebuje człowiek rozsądnej rady. W szczęściu zwykle wyżej wszystko nastraja, a tem samem mija się z prawdą i fałszywie na świat patrzy, a w nieszczęściu znowu traci jeszcze więcej zmysł zdrowy i wszystko czarno widzi. Tu i tam potrzebna jest zawsze miarkująca rada przychylnego przyjaciela. Ręczę panu, że w takim stanie rzeczy byłoby może mniej bolesnych zawodów w życiu, a nawet twierdzę, mniej samobójstw. Samobójca bowiem ginie dla tego, że według jego wyobrażenia nie było już dla niego ratunku. A przecież doświadczenie uczy nas, że nie dla jednego samobójcy był ratunek, tylko że umysł jego, napełniony czarnemi myślami, nie widział go!

Karol myślał długi czas nad temi słowami. Jaśniejszy uśmiech okolił jego usta.

— Dałbym nie wiedzieć co za to — odparł z westchnieniem — gdyby jaka rada zbawienna okazała mi wyjście z tej dziwnej sytuacyi.

— Radzić można tylko temu, kto się ze wszystkiem zwierza. Ja dotąd, prócz lichych domysłów nic nie wiem.

Karol zastanowił się tutaj na chwilę. Każdy człowiek mniej więcej lęka się okazać światu tajemne swoje uczucia i marzenia. Nawet przed przyjacielem nie radzi wypowiadamy wszystko. Zmusza nas tylko do tego jakiś wielki, bolesny cios.

Karol wahał się przez czas niejaki wykryć przed człowiekiem, który wcale nie był przyjacielem wybranym, tylko przez dziwną słabość jego wcisnął się do jego najbliższego sąsiedztwa, wszystkie swoje tajemne marzenia i zawody. Boleść jednak wielka, jaką czuł w tej chwili, nie pozwalała mu przebierać w środkach i uczyniła go jeszcze słabszym, niż był już z usposobienia swego. Westchnął więc, jakby żegnał długo w skrytości pieszczone marzenia i rzekł:

— Oceniam gotowość pana, z jaką chcesz słuchać zwierzeń, które prócz samego opowiadającego często nikogo nie interesują. O panu tego powiedzieć nie mogę, bo już nieraz dałeś pan dowody mniej egoistycznego serca.

Szara twarz Fedora chciała na te słowa słodko się uśmiechnąć, ale uśmiech ten nie doszedł do oczu, tylko ugrząsł w połowie twarzy, przez co niemiły sprawił kontrast między podniesionemi do góry ustami a wyrazem oczu.

— Blizko dwa miesiące — mówił dalej Karol — poznałem dwie kobiéty... które potem w Warszawie odszukałem. Są to te same kobiety, z któremi widziałeś pan mnie w ustronnej alei Saskiego ogrodu... Jedna z nich, jak pan sam zauważałeś, jest piękną, dla mnie najpiękniejszą na świecie. Znalazłem sposobność poznania ich bliżej, zaznajomiłem się i odwiedzałem prawie codziennie. Zdaje mi się, że miałem wzajemność, i że tylko potrzeba mi było rzecz zformułować i do aprobaty matce przedłożyć.

— Zapewnie zjawił się bogatszy, przystojniejszy, a może z tytulikiem jakim... ha, ha, ha! — zaśmiał się Fedor.

— Nie, tego nie dano mi do poznania! Przeciwnie zachowanie się matki i córki jest takie dotychczas, jakbym jedynym był tylko konkurentem, nad którego głową już wisi wieniec laurowy.

— Cóż więc ci jeszcze zawadza — poufale zagadnął Fedor.

— Widzisz — odwzajemnił mu Karol — zawadza mi dosyć ważna przeszkoda, bo człowiek olbrzymiego wzrostu z czarnemi wąsami.

— *Sapristie!* Istna niespodzianka dla mnie. Cóż to jest? To coś bardzo ciekawego.

— Mówię ci, zakochałem się jak to mówią po uszy i nic a nic prócz pięknych oczu Jadwigi nie widziałem. Brzęczały mi wprawdzie niektóre fałszywe akordy w uszach, ale na to nie zważałem. Czasami wydawała mi się Jadwiga zbyt naiwną, jak dziecię mile roztrzepaną, a tu znowu wymknęło się jej zdanie tak dojrzałe, jakby Bóg wie, jakie doświadczenia w życiu miała. Ale to mniejsza, jak mówię, nie zważałem na to. Ale nagle przypadek odsłonił całą okropność mego położenia; poznałem, że Jadwiga gra jakąś grę podwójną, której nie mogę ani pojąć ani zrozumieć. Biedzę się, myślę dniem i nocą, i nie mogę tych hieroglifów odczytać.

— Wierzę ci, kto jest sam stroną, ten nie może być bezstronnym sędzią tego, co się w koło niego dzieje.

— Najprzód powiem ci, że pani Dormundowa (tak się nazywa matka) przybyła tutaj z córką z głębokiej Litwy

i dwa miesiące bawi w stolicy. Przez ten cały czas nie były ani w teatrze, ani na koncercie, ani w żadnym większym zgiełku nie pokazują się. Siedzą w pokojach swoich jak zakonnice i (powiedziano mi to wyraźnie) o godzinie dziesiątej kładą się spać. Przyczyną ich pobytu w stolicy ma być słabość pani Dormundowej, do której czasem w południe stary eskulap chodzi. Otóż to wszystko. Ja tylko jeden bywałem u nich codziennie, ale rozumie się tylko do godziny dziesiątej.

— Już się zaczynam czegoś domyślać.

— Razu jednego przyszedłem koło północy do domu. Nie mogłem spać i otworzyłem okno. Ale cóż widzę. W oknie moich sąsiadek świeci się jeszcze, a na białej firance rysuje się męzki duży nos i zawiesiste wąsy.

— Tam do kata! Nos i pod nosem zawiesiste wąsy — z ukrytą radością wykrzyknął Fedor.

— Nazajutrz stał mi ten nos z wąsami ustawicznie przed oczyma i dopiero wtedy odczepił się odemnie, gdy mi pani Dormundowa wyraźnie powiedziała, że wczoraj nie było nikogo u nich, a panna Jadwiga tak szczerem wejrzeniem to potwierdziła, żem dłużej o tem myśleć nie mógł.

— Cóż? Wejrzenie panny Jadwigi okazało się fałszem?

— Po niejakim czasie znowu ten sam profil okazał się na białych firankach po godzinie dziesiątej. Pytałem o to starego służącego, pytałem i Jadwigę, i zewsząd otrzymałem formalne zaprzeczenie mojej wizyi.

— Czyś gdzieś w pobliżu nie ujrzał kogo, podobnego do tych wąsów? — zapytał ciekawie Fedor.

— Zaczekaj chwilę, a wszystko wyjdzie na wierzch... Pewnego dnia wstąpiłem do sąsiedniej cukierni, i widzę tam jakiegoś bruneta słusznego wzrostu, który ciekawie na mnie się patrzył.

— Zdaje mi się, że w tej cukierni widywałem go... Wysoki, przystojny, mruży często jedno oko.

— Wczoraj wziąłem od Jadwigi książkę. Przewracam kartki... i wypada z nich zwitek papieru...

— Czy masz go przy sobie? — skwapliwie zapytał Fedor, a oczy jego błysły dziwnem ogniem.

— Mam go... ot tu jest.. czytaj — odparł z rezygnacją Karol.

Fedorowi drzały ręce, gdy świstek papieru rozwijał. A rozwijał go z taką ostrożnością, jakby to był banknot bajecznej sumy, lub dokument jakiej ważnej sprawy.

Wreszcie wlepił oczy w ten papier i nie mógł ich bardzo długo od niego oderwać.

Karol tymczasem patrzył smutno przed siebie. Już z natury słaby i bez należytej energii, czekał pierwszych słów powiernika, którýby mu to lub owo doradził. Potrzeba mu było koniecznie jakiejś rady, chociażby ta rada miała wyjść od człowieka, którego sobie nie wybierał, ale który zręcznie sam mu się narzucił.

Fedor tymczasem trzymał spazmatycznie prawie ten świstek papieru i jeszcze od niego oczu nie mógł oderwać. Oczy jego uśmiechały się z taką rozkoszą, jakby się niewymownie cieszył nad przewrotnością ludzką.

— No, i cóż ty na to? — zapytał po chwili Karol.

— Opowiadaj dalej, a ja tymczasem będę studyował te romantyczne gryzmołki.

— Dzisiaj zobaczyłem znowu w cukierni tego bruneta, którego profil zupełnie był podobny do profilu na białej firance, śledziłem go i schwytałem tutaj na gorącym uczynku.

— Na dobrą drogę trafiłeś. W takim razie nie działać porywczo, ale śledzić... śledzić... I cóż dalej?

— Przyjechałem za nim do Łazienek... obaczyłem Jadwigę z matką... schowałem się po za te świerki.

— Wybornie! Wybornie! Nic lepszego nie mogłeś zrobić! I zeszli się razem?

Karol opowiedział tu z wszelkiemi szczegółami całe zdarzenie, którego był świadkiem.

Fedor, który słuchał z wielką uwagą, bawił się tymczasem świstkiem papieru, składał go i rozkładał, wreszcie jakby w roztargnieniu włożył do kieszonki wraz z lornetką.

— Jak to? — ozwał się żywo przy końcu opowiadania Karola—i tu są razem? Poszli razem?... Chciałbym go zobaczyć... Mam tu gdzieś dorożkę (tu klasnął w ręce), znajdziemy ich. Siadaj ze mną.

W dali ozwał się turkot dorożki. Gdy wyszli z ścieżki na drogę, stała już przed nimi.

— Dla czego w tak pogodny dzień zamykasz całą budę dorożki? — ozwał się Karol.

— Mam ból zębów i przeciąg powietrza szkodzi mi — odparł Fedor — zresztą tak będzie nam lepiej.

I wsiedli obaj i objechali całe Łazienki kilka razy do koła. W Łazienkach jednak już nie zastali ich. Wysiedli więc z dorożki i puścili się do góry ku botanicznemu ogrodowi.

— I jakież zdanie masz o całej tej sprawie? — zapytał Karol, gdy do botanicznego ogrodu wchodzili.

— Ja mam takie zdanie — odparł zwolna Fedor — że to, co wiesz, jest jeszcze niedostateczne do powzięcia jakiegobądź postanowienia. Ja nie widzę jeszcze tutaj jasno. Sprawa nie jest jeszcze stracona, ale strasznie pogmatwana.

— Co mówisz — szybko podjął Karol — czy sądzisz, że dla mnie mogłoby to się jeszcze dobrze zakończyć?

— To zależy od ciebie... trzeba umieć śledzić i patrzeć. Tu bowiem nic innego robić nie można. Zdarzają się w życiu tak pogmatwane stosunki, że tylko bystre oko a najczęściej tylko traf szczęścia może je należycie rozwikłać. Może być tak skombinowana sytuacya, że Jadwiga jeszcze więcej zyska uroku...

Ręka Karola zadrzała, gdy wyciągał ją do ramienia Fedora. Ścisnął go konwulsyjnie za ramię i rzekł:

— Ach, ty jeszcze boleśniej obchodzisz się ze mną, niżeli Jadwiga. Okazujesz mnie w perspektywie taką rozkosz...

— Nie jeden był sprawcą własnego nieszczęścia dlatego, że tej perspektywy nie mógł dojrzeć.

— Ale na miłość Boga! Cóż tu robić? Poradź mi, bo ja już głowę straciłem.

— Mówię ci, tu nie ma co robić. Zostaniesz takim dla Jadwigi, jakim byłeś dotąd. Nie zdradzisz ani słówkiem, że wiesz o czem. Tymczasem będziesz śledził we dnie i w nocy i wszystkie drobne rzeczy razem wiązał. W takiem położeniu wolno ci wszystko. Nie jesteś mężem jej, ani narzeczonym. Wtedy podejrzliwość nie byłaby na miejscu. Ale przed tem wszystkiem jest nawet niejako obowiązkiem, aby po ciemku nie upaść. Postarasz się niby przypadkiem poznać tego jegomości bliżej, rozmawiać z nim wiele i wszystko, co mówi, dobrze sobie pamiętać. Potem porównać to razem i szukać sprzeczności. Przedewszystkiem dobrze by było, zastać ich razem i w ten sposób zaznajomić się z tym tajemniczym bohaterem, nie okazując po sobie najmniejszej niespokojności. A gdy już z takiego śledztwa uzbiera się jaki większy materyał, to wtedy pomyślimy nad tem, co dalej robić wypada. Od kroków porywczych trzeba się wystrzegać. Jeżeli jest sprawa stracona, to lepiej stracić ją nieco poźniej, niżeli nierozważnym pospiechem skręcić jej kark przedwcześnie, gdy jeszcze może była do uratowania.

Karol myślał nad temi słowami czas niejaki. Wydały mu się one przedewszystkiem sprawiedliwe.

W tej chwili zbliżali się do akwarjum. Wsparta o kamienną krawędź stała Jadwiga i patrzała na dno wody, gdzie rosły różne wodne rośliny. Matka rozmawiała coś z wysokim brunetem.

— Otóż i one — zawołał Karol i wstrząsł się mimowoli... a ten wysoki brunet —

Fedor tymczasem włożył na nos lornetkę i z uwagą przypatrywał się brunetowi.

— Patrz mameczko—ozwała się w tej chwili Jadwiga — jak to dziwnie złudzić się można patrząc do wody. Liście tej rośliny wydają się, jakby były złamane, a ta skała podwodna jest zupełnie skrzywiona...

— Przyłącz się teraz do nich, okazya wyborna — szepnął Fedor Karolowi do ucha.

W tej chwili obejrzała się Jadwiga i spostrzegła Karola. Lekki rumieniec wystąpił na jej twarz, ale w oczach była jakaś radość promienniejąca. Oczy te ciągnęły, zapraszały do siebie.

Karol ukłonił się naprzód i jeszcze nie wiedział, co uczynić, gdy Fedor nagle podał mu rękę i rzekł:

— A więc do zobaczenia. Spodziewam się, że wkrótce obaczymy się znowu.

— Daj mi ten świstek papieru...

— Zaraz — odparł spokojnie Fedor szukając w kamizelce... nie mogę znaleść prędko... Jadwiga się patrzy... przyniosę ci po południu o godzinie piątej.

Rzekłszy to ścisnął rękę Karolowi i odszedł. Karol zaś zbliżył się z bijącem sercem do Jadwigi.

— Przedstawiam panu naszego znajomego z Księstwa, pana *** — ozwała się matka.

Karol ukłonił się o ile mógł spokojnie, i zaczęła się rozmowa o rzeczach codziennych.

XXX.

Minął cały tydzień, a położenie Karola bynajmniej się nie wyjaśniło. Fedor odwiedzał go codziennie, i codziennie wypytywał się o najdrobniejsze szczegóły o tym „znajomym z Księstwa.“ Karol dostarczał mu wszystkich wyjaśnień, jakich tylko Fedor zażądał, ale obaj nie mogli jeszcze tej zagadki wyjaśnić.

Fedor pracował z energią dla swego przyjaciela. Był niewyczerpany w najrozmaitszych projektach, w różnych skombinowanych dyalogach, których uczył Karola, ale wszystko było nadaremnie. Zdaje się, że adwersarz był zręczny i zawsze gładko się wywijał. Nie można było o nic zaczepić. Wszystkoześliznęło się z niego.

Jadwiga przyczyniała się jeszcze do zagmatwania całej sprawy. Była tak szczerą i otwartą dla Karola nawet w obecności „znajomego z Księstwa“, że trudno było położyć to wszystko na karb jej sprytu i sztuki. Trudno było Karolowi, gdy patrzał w te ciemne, zwilżone oczy, uwierzyć w szkaradę i potworność serca kobiécego, uwierzyć w fałsz i obłudę. Trudno mu było uwierzyć, że ta sama ręka, która tak roskosznie drżała w jego ręku, tak samo zadrży w dłoni każdego innego mężczyzny. Nie, tego wierzyć nie mógł, nie chciał, a nawet sądził, że nie powinien.

Z drugiej znowu strony schwytał czasem spojrzenie Jadwigi dziwne, niewytłumaczone. Było ono rzucone „znajomemu z Księstwa“, a było jakieś tak poufałe, tak wymowne, że tylko słowa pod nie podłożyć.

I „znajomy z Księstwa“ był często dziwnie nastrojony. Czasami był wesoł aż do zbytku, rozmawiał wiele i odpowiadał na wszystkie pytania Karola, a czasami znowu milczał uparty i nie można było z niego dwóch słówek wydobyć.

Osobliwie muzyka Jadwigi sprawiała na nim dziwne wrażenie. Wtedy podpierał głowę i wpadał w głębokie zamyślenie. Widać było na jego twarzy rozrzewnienie i jakiś żal za czemś straconem. Pierś jego podnosiła się, wzdychał i wilgotnemi oczyma patrzał przed siebie, jakby siłą wyobraźni stawiał przed sobą upragnione a uciekające lub dawno pogrzebane obrazy. A gdy Jadwiga grać przestała, wtedy zbliżał się do niej, brał ją za rękę i mimo obecności Karola wyciskał na niej dłuższy i gorętszy, niżby należało pocałunek.

W takim razie Karol odchodził od zmysłów i targał rękawiczkę, aby jakim szałem nie wybuchnąć. Tysiące myśli rozpierały mu pierś, a żadna z nich nie dawała mu sposobu zakończyć raz tę dziwną grę losu..

Są chwile w życiu, w których człowiek radby już jak najprędzej spotkać się z swojem nieszczęściem, aby się dłużej niepewnością nie dręczyć. Tak już Karol pragnął uchwycić raz dowód namacalny, któryby już i Fedorowi wystarczał, i zakończyć o ile można ten smutny i tragiczny epizod życia. Co po tem nastąpi, o to w tej chwili nie pytał Karol, on pragnął tylko ostatniego ciosu, a nie dbał o to, czy go ten cios zabije, czy tylko zrobi wieczystym kaleką.

I dziwne katusze przechodził w tych dniach niepewności. Pod jasnym promieniem oczu Jadwigi topniały wszystkie nagromadzone dowody, a wtedy zdawało mu się, że ten profil na firance, ta rozmowa w alei ocienionej, że to wszystko było jakimś snem złowieszczym, jakąś gorączką nieodgadnioną. A w innych chwilach znowu, gdy „znajomy z Księstwa“ z większą uwagą Jadwigi słuchał, gdy z większem rozrzewnieniem wpatrywał się w mówiącą, trudno było Karolowi na miejscu dosiedzieć, wił się i kręcił, jakby siedział na rozpalonych węglach.

Kilka razy dla odurzenia siebie poszedł do rejenta i panny Michaliny. A panna Michalina cieszyła się niewymownie, że przez cały czas był małomowny i często wpadał w bezprzykładne zamyślenie. Uważała to za dobry znak dla siebie.

Wreszcie doczekał się Karol rozwiązania swego nieszczęścia.

(Dok nast).

CERKIEW GRECKO-UNICKA.

Któż z nas nie zna owych staruszków zgrzybiałych, porośniętych mchem, pochylających się nad krzyżykami zarosłego bujną trawą cmentarza, otoczonych płaczącemi brzozami lub rosochatemi świerkami, któż nie zna owych wiejskich cerkiewek ruskich, z których jedną przedstawia nasza rycina podług rysunku Franciszka Tepy zdjętego z uderzającą prawdą z natury. Któż ich nie zna! Ale zapewnie mało komu przyszło na myśl, że te wieśniaczki takie skromne i proste, są to córki architektury, która właśnie odznacza się największym przepychem form i największem bogactwem ornamentacyi. Wzorem naszym cerkiewkom służyły pyszne bazyliki bizantyńskie, których przepych tak zachwycił posłów Włodzimierza w. ks. kijowskiego, że postanowił przyjąć obrządek wschodni, a oddalił księży rzymsko-katolickich i mojżeszowego wyznania rabinów kozarskich, którzy go na swoją wiarę namówić chcieli. Ale jak obrządek wschodni przeniesiony na Ruś uronił wiele ze swojej pierwotnej pompy, tak i domy boże zwieśniaczały do niepoznania po za murami stołecznego Bizancyum, osiadłszy wśród cichych siół podolskich, ukraińskich i wołyńskich. Miejsce okrągłołukich przysionków zajęły skromne poddasza, wsparte na prostych drewnianych słupach miasto filarów rzeźbionych i złoconych bogato. Mozaiki i marmury zastąpiły modrzewiowe tramy i proste gonty, i tylko w baniastych kopułach pozostało przypomnienie bizantyńskiego stylu. Jedynym zabytkiem dawnego przepychu to chyba tylko *carskie wrota*, które i w najuboższej cerkiewce jaśnieją zawsze złoceniem i jaskrawemi malowidłami. Nie dziwić się jednak tej zmianie! Jaki kraj, jacy ludzie, takie ich mieszkania, takie ich domy modlitwy. Rozpieszczony, dumny bizantyniec, potomek światowładnych Rzymian, lubował się w przepychu i formach miękkich, okrągłych, które mu przypominały wspaniałą architekturę pogańskich jego przodków, światowładnych Rzymian. Uniesiony religijnem natchnieniem i poezyą mieszkaniec zachodniej Europy, budował strzelające w obłoki wieże i ostremi łukami wznosił się z ziemi ku niebu. Prostaczy, ubogi, przygnębiony kmieć ruski budował Bogu skromne przybytki, proste, ciche, smutne jak cały jego żywot, i pomimo obcego pochodzenia zdradzające przecież bodaj w materyale budulcowym pewne pokrewieństwo z pogańsko-słowiańskiemi kontynami.

KRONIKA.

Z kraju.

Przyjazd Libelta do Lwowa i przyjęcie jego. — Teatr. — Artyści z Warszawy. — Wiadomości literackie i artystyczne.

Najważniejszym wypadkiem w ciągu tego roku jest dla Lwowa przybycie dr. **Libelta** z Poznania. Znakomity ten pisarz, uczony, żołnierz i polityk przyjmowany był z zapałem, który kochanemu gościowi mógł być miłym nie tylko jako objaw uznania wielkich jego zasług, ale oraz jako chlubny dowód silnego, gorącego życia polskiego w naszem mieście i kraju. Nie sam bowiem Lwów wybiegł na powitanie reprezentanta Wielkopolski, wszystkie miasta i miasteczka, przez które on przejeżdżał, spieszyły z podobnemi demonstracjami, a podczas uczty, dawanej dla niego staraniem Towarzystwa naukowo-literackiego, ze wszystkich stron kraju, z drobnych nawet mieścin, jak Kałusz i Husiatyn, nadchodziły telegramy do uroczystości

zastosowane. Wykłady w sali ratuszowej zgromadzały taki natłok słuchaczów, jakiego nigdy nie widziano, spieszyły tam osoby, których jeszcze na żadnym dotychczas odczycie nie mieliśmy przyjemności oglądać.

Aż miło patrzeć, że przy rozbudzonem cokolwiek więcej zajęciu publicznem, nie wyłączają się od ruchu i te warstwy społeczeństwa, na które u nas tak sarkają, i którym zarzucają brak prawdziwej polskości. Mnóstwo członków arystokracyi tutejszej brało udział w powitaniu Libelta. Brały udział wszystkie stany. Gdyby szanowny gość nasz znał był Lwów przed 20tu lub 30tu laty, musiałaby go była cieszyć zmiana, jaka tu zaszła od tego czasu pod innym jeszcze względem. Wówczas nie było u nas prawie mieszczaństwa polskiego, dziś rzemieślnicy, kupcy współzawodniczą z intelligencyą, gdzie chodzi o objawienie polskości. Stowarzyszenia, osobliwie Gwiazda i kółko młodzieży handlowej, są zawiązkami, przechowującemi i rozwijającemi jak najlepszego ducha. Zaiste, przyszłość nasza będzie lepszą, niż przeszłość, bo będzie nas coraz, coraz więcej!

W teatrze polskim wybrano na przedstawienie powitalne dwa utwory, które powstały we Lwowie i któremi moglibyśmy karmić dumę naszą zaściankową, gdybyśmy ją mieli. Szczęściem mamy jej bardzo mało. Mówimy tu o „Posażnej Jedynaczce“ Fredry (syna), widzianej zawsze z przyjemnością na scenie, i ciągle świeżej operetce St. Dunieckiego, „Paziowie królowej Marysieńki“. Przyjęcie szanownego gościa w teatrze było równie uroczyste i serdeczne, jak pierwsze powitanie jego. Nazajutrz, to jest w ostatni dzień pobytu jego u nas, uczcili go obywatele miasta świetną ucztą, ożywioną serdecznemi toastami, a poźnym wieczorem jeszcze zaszczycił szanowny gość odwiedzinami swemi stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczej, tak zwaną „Gwiazdę,“ gdzie odpowiadając na przemowę prezesa zachęcał zacną naszą młodzież rzemieślniczą do wytrwałości, wskazując jej pracę jako potężny środek do podźwignienia ojczyzny. Tego samego dnia odwiedził dr. Libelt także Czytelnię akademicką, i jak wszędzie tak i tam pozostawił po sobie ożywcze ślady potężnego ducha i gorącego patryotyzmu. Słowem rzec można, że odwiedziny jego, acz krótkie, wywarły podobnie jak przed dwoma laty odwiedziny J. I. Kraszewskiego bardzo zbawienny wpływ na społeczeństwo nasze, któremu Bogiem a prawdą potrzeba rzeczywiście takiego wielkiego wzoru, ażeby zapatrując się nań i skupiając około niego zapomniało o swarach domowych i zjednoczonemi siłami pracowało nad wielkiem dziełem odrodzenia.

Sprawa teatru naszego stała się w najnowszym czasie przedmiotem bardzo drażliwej polemiki dziennikarskiej. Z rokiem bieżącym kończy się kontrakt teraźniejszej dyrekcyi, a ponieważ się dowiedziano, że pan Miłaszewski stara się o odnowienie kontraktu na dalszych sześć lat, a administracya fundacyi Skarbkowskiej skłania się do tego, uderzyły niektóre dzienniki niby imieniem opinii publicznej na gwałt, maszcząc swoje argumenta obelgami miotanemi na osobistości. Powtarzaliśmy już nieraz, i każdy człowiek rozsądny to przyzna, że taką bronią nigdy się nie wygrywa sprawy, owszem sam już z góry daje za wygraną ten, kto się ucieka do takich środków, chociażby nawet miał słuszność po sobie. Ależbo tutaj i co do słuszności można powiedzieć, że szeroko o tem Dawid pisał, a powoływanie się tego lub owego dziennika na opinię publiczną jest właśnie najlepszym tego dowodem. W naszem dziennikarstwie zagnieździła się niestety ta epidemiczna choroba, że każdemu z nich zdaje się, iż reprezentuje opinię publiczną, i każdy z nich chciałby mieć wyłączny przywilej na to. Otóż dzięki tej narzucanej opiece doszliśmy do tego, że mamy kilka gatunków opinii publicznej, które jednak zestawione razem, znoszą się nawzajem i w ostatecznym rezultacie dają tylko wielkie zero. I inaczej być nie może, bo każdy dziennik jest tylko echem swojego kółka, i to najczęściej jeszcze nastrajanem wedle interesu tych, którzy stoją z przodu, gdy tymczasem prawdziwa opinia publiczna, wyższa nad ten gwar tuzinkowy, patrzy na wszystko bezstronnem okiem i oddaje każdemu sprawiedliwość wedle zasługi. I cóż — pytamy — znaczy tutaj powoływanie się jednego dziennika na opinię publiczną? Komuś podoba się dla własnego interesu nazwać białe czarnem, i ma pretensyę, ażeby wszyscy mu potakiwali. A tak się ma rzecz właśnie z dyrekcyą naszego teatru. Komuś podobało się być nieprzyjacielem Miłaszewskiego, więc hejże na Soplicę, i nikomu już — broń Boże — nie wolno mieć innego zdania pod karą zniewagi publicznej. Tak się u nas pojmuje wolność słowa!

Ale wróćmy do sprawy teatru. Podniesiono krzyk, że pod dyrekcyą pana Miłaszewskiego upadła scena polska, i że przeto nie powinna administracya Skarbkowska odnawiać z nim kontraktu. Moglibyśmy z łatwością udowodnić, że rzecz ma się całkiem przeciwnie; żyją jeszcze ci, którzy pisali i czytali monitoryum Wydziału krajowego, wydane w roku 1862 do poprzedniej dyrekcyi z zarzutem, że przywiodła scenę do upadku, a z czego wypływa, że pan Miłaszewski objął już tylko ruinę, którą potrzeba było z gruntu odbudowywać. Nie o to wszakże idzie nam teraz. Stawiamy tylko pytanie: czy pan Miłaszewski odpowiedział warunkom swojego kontraktu, czy nie? Ci, którzy mają prawo decydować o tem, i publiczność patrząca bezstronnem okiem nie mają mu nic do zarzucenia, bo widzą, że robi co może, i że w położeniu, w jakiem znajduje się nasza scena, więcej robić niepodobna. Dlaczegoż więc nie mogłaby administracya odnowić z nim kontraktu? Boby ucierpiało na tem dobro publiczne — krzyczą nieprzyjaciele dyrekcyi — bo się chcą ubiegać o dyrekcyę jacyś znakomici estetycy, pisarze dramatyczni, artyści i Bóg nie wie jakie znakomitości księżycowe, któreby odrazu postawiły scenę na wysokości dzisiejszych wymagań sztuki i potrzeb narodu. Pomijamy czczy frazes o dobru publicznem, który niestety bywa dziś częstokroć tylko pokrywką interesu własnego; ale radzibyśmy wiedzieć, które też to są owe znakomitości, nieznane dotąd światu, a mające uwiecznić pamięć swoją w historyi naszego teatru? Bodaj czy nie potrafilibyśmy nadać każdej z nich odpowiedną postać z pomiędzy owych wielkości, których estetyka zasadza się na sztuce marnotrawienia majątku, a poezya dramatyczna na awanturniczem życiu, i które popadłszy dziś dzięki tej estetyce i poezyi w zupełne bankructwo materyalne i moralne, chciałyby wygodnie kosztem naszej sceny wieść dalej swój żywot pasożytny. Że znaleźliby się tacy kandydaci do dyrekcyi, o tem nie wątpimy, i właśnie dlatego wołamy z głębi duszy: Od powietrza, głodu, ognia i wojny, i od takich znakomitości — zachowaj nas Panie! Jak się zresztą rozstrzygnie sprawa teatru, prze-

widzieć jeszcze nie można, ale na wszelki sposób wolimy jednego Miłaszewskiego, niż stu podobnych estetyków i autorów dramatycznych.

Przy tej zaś sposobności wspomnąć nam wypada o kilku nowościach, z jakiemi spotkaliśmy się w ostatnich czasach na scenie. Mianowicie mieliśmy dwa występy gościnne: pana Krogulskiego i pani Biedrońskiej, artystów warszawskich. Pierwszy zrobił niestety fiasko zaraz przy pierwszym występie w roli Diogenesa w „Kobietach z kamienia“ i nie występował już więcej; pani Biedrońska zaś występowała dotąd dwa razy: w dramacie „Dziewczę z gór“ i w „Ślubach panieńskich“, i wywiązała się dość szczęśliwie z swych ról, chociaż nie jest to bynajmniej talent pierwszorzędny. Prócz tego dowiadujemy się, że dyrekcya angażowała już stale dwóch nowych artystów, pp. Leszczyńskiego i Teksla, z których ostatniego znamy już z występów gościnnych w zeszłym roku. Z przedstawionych na scenie nowych utworów dramatycznych wymieniamy tylko komedyę: „Emigrant w Galicyi,“ napisaną wprawdzie pięknie, ale bez wszelkiej znajomości stosunków tutejszych.

Ze świata literackiego nowin tą razą nie wiele. Dwa pisma peryodyczne: „Wiadomości polityczne“ i „Nowiny“ przestały wychodzić, a ubytku tego nikt pono nie czuje. Z wydawnictw książkowych zasługują tylko na wzmiankę: „Czarne godziny“, przedrukowana z „Dziennika Literackiego“ powieść Wł. Łozińskiego, i „Tania Czytelnia,“ zawierająca żywot Jana Henryka Dąbrowskiego, dowódzcy legionów polskich, wydana nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego.

Bardzo wielką czynność rozwija założona świeżo w Dreźnie drukarnia Józefa Ign. Kraszewskiego. W przeciągu kilkumiesięcznego istnienia wyszło już z pod pras jej kilka dziełek pięknie drukowanych, a prócz tego wydaje ona pismo peryodyczne B. Bolesławity pod tyt.: „Omnibus“, które zamieszcza bardzo ciekawe i cenne wiadomości krajowe i obce ze wszystkich gałęzi życia umysłowego.

W Krakowie zanosi się na utworzenie nowego pisma literackiego, którego redaktorem będzie podobnoś p. Bałucki.

Wystawa obrazów i rzeźb we Lwowie rozpoczęła się z dniem 18. b. m. W przyszłym zeszycie „Strzechy“ podamy o niej sprawozdanie.

Ze świata.

(Dziwactwa angielskie). Dwóch młodych Anglików z wyższego towarzystwa przybyło na kilka dni w odwiedziny do lorda Panmure, mieszkającego w zamku Brechin. Chcąc zabawić swoich gości, zaprosił lord Panmure jednego z sąsiednich właścicieli dóbr, Mra Panlathie, na obiad, z tym wyraźnym dodatkiem, ażeby zaopatrzył się dobrze w pieniądze. Zaproszony znając dziwactwo lorda, i będąc sam miłośnikiem figlów, domyślił się zaraz, że będzie to jakaś osobliwsza awantura, i przybył w oznaczonym czasie dobrze uzbrojony i z postanowieniem zachowania zimnej krwi na wszelki wypadek. Dano do stołu i rozpoczęła się uczta. Po pierwszym toaście zabrał głos gospodarz i zawołał: „Wszystkie kapelusze w ogień, albo 200 fr. kary!“ Natychmiat cztery kapeluszów poleciało w komin. Po drugiem zdrowiu powstał jeden z gości: „Wszystkie surduty w płomień, albo 1000 fr. kary!“ — i surduty czterech biesiadników poszły tą samą drogą. „Buty w piec“ — zawołał następny— „albo 5.000 fr. kary!“ I buty więc poszły na ofiarę. Teraz przyszła kolej na Mra Panlathie. Jakoż powstaje on bez namysłu, spogląda kolejno na swoich towarzyszów i woła: „Zęby w piec, albo 10.000 fr. na stół!“ Przytem wyjmuje swoją fałszywą szczękę i rzuca w ogień. Na ten widok zdumieli wszyscy inni, raz dlatego, iż Mr. Panlathie, który przed chwilą jeszcze tak pięknie się uśmiechał, miał fałszywe zęby, a powtóre, iż nie mogli dokazać tej sztuki. Mr. Panlathie zaś zgarnął spokojnie 30.000 fr., podziękował lordowi Panmure za doskonały obiad i zamówił sobie nazajutrz nową szczękę.

(Wybór cesarzowej w Chinach). Nie wiemy, czy jest na świecie istota szczęśliwsza od cesarza chińskiego. Monarchowie europejscy, jeźli chcą się żenić, muszą w wyborze małżonki ograniczać się rozmaitemi względami: polityki, koligacyi i Bóg wie czego, i nieraz też zaciężą im porządnie więzy małżeńskie. Chiński cesarz nie zna żadnych ograniczeń w tej mierze, on wybiera sobie sam i to nie jedną tylko, ale nawet kilka żon podług własnego upodobania, a to z pośród najpiękniejszych dziewic, jakie produkuje państwo niebieskie. Wybór ten odbywa się jednak urzędownie i z pewnemi ceremoniami, które bywają ściśle przestrzegane. Właśnie przed kilkoma miesiącami przedsiębrał taki wybór teraźniejszy młodociany władca państwa chińskiego w Pekinie, i jeden z naocznych świadków opowiada następujące szczegóły o tym ciekawym akcie:

Urzędnicy, których córki ubiegają się o godność cesarzowej, udają się z niemi w oznaczonym czasie do Pekinu, i muszą należyć do jednego z tak zwanych ośmiu sztandarów państwa. Sztandarami temi odznaczają się potomkowie tych wojowników, którzy brali czynny udział w zdobyciu Chin przez Tatarów w XVII. wieku, a potem osiedli stale w Chinach. Każdy oddział tych ośmiu sztandarów zostaje pod kierownictwem prefekta i dwóch podprefektów, których obowiązkiem jest oraz utrzymywać dokładną listę narodzin i wypadków śmierci w każdym sztandarze. Otóż na podstawie tych list otrzymali wszyscy przynależni ojcowie rodzin w Pekinie, jako też w najodleglejszych prowincyach i ziemiach urzędowe wezwanie, ażeby córki swoje, będące w wieku od 12 do 16 lat, na oznaczony czas przygotowali do prezentacyi, a względnie przysłali do Pekinu. Nim jeszcze następuje właściwe przedstawienie, doręczają cesarzowi mnóstwo podłużnych tabliczek drewnianych, na których wypisane są: imię, godność i urząd ojca, wiek córki i sztandar, do którego familia należy. W wilię dnia, przeznaczonego do wyboru, przeciąga dlugi korowód dwukolesnych wozów, w których siedzą dziewczęta, pod przewodnictwem prefektów i podprefektów po wszystkich dzielnicach miasta. Pochód ten odbywa się porządkiem podług sztandarów. Żółty z czerwoną obwódką sztandar Mandżurów zajmuje pierwsze miejsce. Nazajutrz o świcie zbiera się dwór z cesarzem, z owdowiałemi małżonkami cesarskiemi i z pewną liczbą eunuchów. Przed cesarzem leżą wyżwspomnione tabliczki drewniane. Teraz przywołują najprzód prefekta i podprefektów pierwszego sztandaru. Ci klękają przed Cesarzem i pozostają w tej postawie aż do swojej odprawy. Cesarz bierze do rąk tabliczki dre-

wniane i czyta głośno imiona, a eunuchy przedstawiają mu kolejno każdą dziewczynę. Dziewczęta nie klękają, lecz stoją przed cesarzem, który przypatruje im się dokładnie, rozmawia z niemi i zasięga bliższych wiadomości od prefekta. Jeźli dziewczyna nie podoba się cesarzowi, wrzuca on jej tabliczkę do stojącego na ziemi kosza, w przeciwnym zaś razie odkłada tabliczkę na bok, zrobiwszy wprzód na niej czerwonym tuszem tajemny znak, przeznaczający wybraną do klasy I., II. lub III. Tak idzie dalej, aż się skończy przegląd wszystkich sztandarów. Z odłożonych tabliczek odbywa się w następnych dniach na podstawie czerwonych znaków drugi, ściślejszy wybór. Po trzech lub czterech dniach otrzymują zawiadomienie dziewczęta, na które padł ściślejszy wybór; reszta młodych dam powraca do domu; te zaś którym powiodło się zjednać sobie względy Jego ces. Mości, muszą jako kandydatki do małżeństwa pozostawać tak długo w Pekinie, aż cesarz stanowczy zrobi wybór, i nim to nastąpi, nie mogą naturalnie iść za mąż. Należące do ośmiu sztandarów dziewczęta różnią się zewnętrznie od innych dam chińskich nietylko odmiennym nieco strojem, ale także bardzo korzystnie tem, że ulubione powszechnie w Chinach ściskanie nóg jest u nich zakazane.

W tym roku przedstawiało się do 400 dziewcząt, a 6 czy 7 zostało zaszczyconych ściślejszym wyborem. Z tych wybiera sobie cesarz w swoim czasie nietylko cesarzowę, ale także kilka żonek ubocznych. Może także wybierać z nich żonę dla synów książęcych. Uboczne żony cesarza, zwane księżniczkami (Pie) lub arcyksiężniczkami (Fe), zajmują zresztą bardzo poczesne stanowisko u dworu, tem bardziej, że niejedna z nich może po śmierci cesarzowej albo też w razie bezdzietności jej zostać również cesarzową. I jestże, pytamy raz jeszcze, który monarcha szczęśliwszym od cesarza chińskiego?

(N a j w i ę k s z a k u c h n i a n a ś w i e c i e). Jak donosi dziennik: „Buenos Ayres Standard“ jest zakład „Kompanii do wyrabiania mięsnego extraktu“ Liebiga w Froy Bentas nad Uragwajem, największą teraz kuchnią na świecie. Zajmuje ona 20.000 stóp kwadratowych i dzieli się na wiele części, z których każda urządzona jest odpowiednio swemu przeznaczeniu. Gość zwiedzający zakład wchodzi najprzód do dużego, ciemnego, płytami kamiennemi wyłożonego przedsionka, gdzie mięso ważą i otworami podają do maszyn krających. Takich maszyn jest cztery i są one w stanie pokrajać w ciągu godziny mięso z 200 wołów. Z tych maszyn idzie mięso do tak zwanych „Digeratorów“ (tłoczników), gdzie roztłacza je siła pary, wynosząca 75 funtów na jeden cal kwadratowy. Te tłoczniki sporządzone są z kutego żelaza i każdy obejmuje 12.000 funtów mięsa. Jest ich dotąd dziewięć, ale wkrótce mają ustawić trzy nowe. Z tych tłoczników odchodzi płyn rurami do licznych naczyń, które oddzielają tłuszcz, a z tych znowu do pięciu kotłów czyszczących z lanego żelaza, z których każdy mieści w sobie 1.000 gallonów. Pumpy powietrzne, poruszane parą, wyciągają ztąd płyn na górę do dwóch kadzi chłodzących, zkąd po rozmaitych procesach filtrowania spływa do czterech aparatów studzących, a nazajutrz rozpuszczają go znowu w mniejszych naczyniach i pakują w puszki. Rzeźnik kompanii może z swoimi ludźmi ubić na godzinę 80 wołów, a 150 ludzi zajmuje się rozbieraniem bydła dla maszyn.

(M e s s y a s z u b o g i c h). W Londynie pojawił się już Messyasz ubogich i potrzebujących pomocy. Po rogach ulic londyńskich czytano niedawno plakat, który głodnym dodaje nowej odwagi do życia, z napisem: „Sztuka żebrania, w siedmiu lekcyach.“ Profesor Roonay—powiedziano na tym afiszu—ma zaszczyt oznajmić publiczności, że utworzył zakład, w którym można teoretycznie i praktycznie nauczyć się sztuki przyzwoitego żebrania. Każda porządna osoba, posiadająca dostateczną intelligencyę, nabędzie za pomocą tej nauki taką wprawę, że po sześciu lekcyach może wygodnie żyć kosztem publiczności, nie potrzebując obawiać się żadnego przesilenia politycznego. Warunki są umiarkowane. Również przyjmuje ten profesor za mierną zapłatę dzieci na pensyę, gdzie bez naruszenia zdrowia kształcone będą we wszystkich rodzajach żebractwa. Także posiada on znaczny zapas certyfikatów, plastrów i ran wszelkiego rodzaju, które do złudzenia naśladują rzeczywistość. Nakoniec mogą roztropne i zręczne kobiety wynajmywać u niego, za małem wynagrodzeniem dziennem, dzieci, psy dla ślepców, kule, plastry i wszystko, czego potrzeba do kunsztu żebrackiego. Szanownym interesentom z prowincyi zapewnia plakat rzetelną usługę i największą dyskrecyę, i każe im zgłaszać się pod adresem: „21 Princess Street St. Gilles.“

Nie można być zaprawdę praktyczniejszym od tego profesora żebractwa, ani też bardziej pobłażającym, niż policya angielska!

(P r e m i e d z i e n n i k a r s k i e). Świat dzisiejszy przesiąkł już tak dalece materyalizmem, że nawet literatura peryodyczna stała się artykułem spekulacyi kupieckiej. Mianowicie dziennikarstwo z powodu znacznej konkurencyi przybrało już do tego stopnia cechę prostego przemysłu, że redaktorowie i wydawcy dzienników wpadają na najdziwaczniejsze pomysły, ażeby zjednać sobie odbyt i życzliwość publiczności.

Pierwszy przykład w tym względzie dała Ameryka, gdzie przed kilkoma laty zaczęto drukować dzienniki na serwetach i chustkach od nosa, a dziś idzie już i sędziwa, uczona Europa w te ślady. Szczególnie odznacza się w tym kierunku Francya, gdzie niema prawie dziennika, któryby nie starał się łowić czytelników jakąś osobliwszą premią. Tak między innemi „Etendard“, wielka gazeta polityczna, przyrzeka swoim abonentom z końcem roku b o n b o n k i; „Gaulois“ i kilka innych dzienników ofiarują na premie wspaniałe albumy, a francuzkie pismo familijne: „La famille,“ redagowane przez panie Renneville i Bassanville, przygotowuje dla swoich abonentów następujące powabne rzeczy: 1) D o s k o n a ł ą l a t a r n i ę c z a r n o k s i ę z k ą; 2) przepyszne a l b u m, przedstawiające kostiumy wszystkich ludów na świecie; i 3) d w i e d u ż e c h u s t k i f u l a r d o w e z magazynów kompanii indyjskiej.

Inny dziennik zamówił 20.000 zegarów, tak zwanych budzików, z których każdy abonent otrzyma jeden na premię, a nakoniec pan De Pene, redaktor dziennika „Paris“, urządza co kwartału na rzecz swoich abonentów wspaniały koncert, w którym biorą udział najpierwsi spiewacy i artyści. Pierwszy taki koncert odbył się już, i każdy abonent otrzymał kartę wstępu.

Nie brak też i w Niemczech naśladowców tego literackiego przemysłu, o którym przed dziesięciu laty nikomu jeszcze się nie

śniło. Tak między innemi czytamy zaproszenie zakładu literackiego w Berlinie do prenumeraty na dwie powieści z przyrzeczeniem, że abonenci jednej otrzymają w dodatku przepyszne album fotograficzne, a drugiej dwa noże srebrne i piękną broszkę damską ze srebra i złota.

Czytając podobne ogłoszenia zapytujemy się nieraz, czy nie byłoby praktyczniej zakładać już od razu redakcye dzienników i wydawnictwa literackie po sklepach galanteryjnych? Może też z czasem i to nastąpi.

(Święty Mikołaj swatem). Słyszeliśmy już o niejednym dziwnym przypadku, który skojarzył małżeństwo, ale ten, który opowiedzieć zamyślamy, jest całkiem nowym w swoim rodzaju. Lud francuzki uważa św. Mikołaja za patrona i kojarzyciela wszystkich małżeństw, i młodzież tamtejsza, a szczególnie dziewczęta, uciekają się zawsze do jego protekcyi. Dlatego też i piękna Annetka z czarnemi, błyszczącemi oczyma, z kantonu Montreuil, sprawiła sobie ładną statuetkę św. Mikołaja z gipsu, i modliła się bardzo gorąco do niej. Ale modły te nic jakoś nie skutkowały; chłopcy mieli serca jak z głazu, i upragniony małżonek nie pojawiał się. W końcu znierpliwiło to już dziewczynę; zwątpiła o cudownej władzy św. Mikołaja, i pewnego pięknego poranku wyrzuciła z gniewem jego statuę przez okno. Zuchwałość ta jednakże nie uszła jej bezkarnie; św. Mikołaj zemścił się za tę zniewagę, a zemścił w sposób prawdziwie godny Świętego. Wyrzucona statua spadła na głowę młodzieńcowi, imieniem Reymond, który właśnie przechodził tamtędy, i oburzony tem chłopak zaniósł skargą do sądu. Z niesłychaną trwogą stawiła się Anneta przed sędzią pokoju; oskarzyciel i oskarzona spojrzeli sobie w oczy. Ale rzecz dziwna! na widok pięknej winowajczyni ostygł gniew Reymonda zupełnie; zapomniał o jej zamachu na swoje dwudziestoletnie życie i cofnął swoją skargę. Obie strony przeciwne powracały potem razem do wsi; co mówiły z sobą przez drogę, trudno wiedzieć, ale to pewna, że przybyli do wsi ręka w rękę i szepcząc bardzo czule. We trzy tygodnie potem czytano zapowiedzi Reymonda i Annety, a w ośm dni poźniej odbyło się ich wesele. Tak więc ocalił św. Mikołaj swoją sławę, chociaż sposobem nieco drażliwym, a rówienniczki Annety modlą się teraz jeszcze goręcej do tego patrona.

(Awanturniczy żywot). W domu szalonych w Bicetre zmarł przed dwoma miesięcami człowiek, którego życie składało się z samych awantur, na jakie chyba fantazya romansopisarza zdobyćby się mogła. Julien Marne — tak się nazywał ów awanturnik — otrzymał świetne wychowanie, a był potomkiem zamożnej rodziny z Saintange, która emigrowała w czasie rewolucyi. Mając lat 24, wstąpił do służby rządowej w Rossyi. Pewnego pięknego poranku porwała go policya z domu i wywiozła jako więznia stanu do Tobolska, gdzie 11 lat przesiedział. Napisał tam dzieło o Sybirze, które posłał carowi moskiewskiemu wraz z prośbą o ułaskawienie; i rzeczywiście został ułaskawiony, ale pod warunkiem, ażeby opuścił Moskwę i nigdy do niej nie wracał. Z Tobolska udał się do Turcyi, gdzie w r. 1840 zanosiło się dwa razy na to, iż mógł być obwieszonym. Tam otrzymał wiadomość o śmierci jednego ze stryjów swoich w Paryżu, i pospieszył do Francyi objąć swoje dziedzictwo, które wynosiło 750.000 franków. W Paryżu odznaczał się dziwactwami swemi tak dalece, że ogłoszono go waryatem i zamknięto w domu szalonych. Po roku uwolniony ztamtąd, stał się takim marnotrawcą, że po upływie dwóch lat przepuścił cały majątek. Chcąc położyć koniec swojej nędzy poskoczył do Sekwany, ale został mimowolnie wyratowany i postanowił wtedy żyć dalej. Szulerował po rozmaitych jaskiniach paryskich, był fechmistrzem, nauczycielem języków i dyrektorem bióra wywiadowczego dla sług. Także w polityce brał udział. Należał do jakiegoś spisku, po którego odkryciu umknął do Anglii i został policyantem. Poźniej udał się do Ameryki północnej, ale ponieważ w stanach wschodnich nie sprzyjało mu szczęście, powędrował do Kaliforni, gdzie w kilku latach zebrał znaczny majątek. Potem przybył napowrót do Europy i osiadł w Wiedniu, gdzie został dyrektorem teatru, któreto zajęcie kosztowało go wiele pieniędzy. Nakoniec w roku 1863 udał się znowu do Paryża. Tu zajmował się przez kilka lat experymentami chemicznemi, przy których poszedł z dymem jego majątek, a których celem było ni mniej ni więcej, tylko utworzenie dyamentów. Przed pietnastoma miesięcami jednak zaczął okazywać tak wyraźne znaki obłąkania, że musiano go zabrać do domu szalonych w Bicetre, gdzie wreszcie śmierć położyła koniec temu awanturniczemu życiu.

(Tajemnica żelaznej maski), nad którą historycy francuzcy już tyle nałamali sobie głowy, jest dotąd nierozwiązaną, mianowicie nikomu nie udało się jeszcze odkryć, kto był ów nieszczęśliwy, którego za panowania Ludwika XIV. trzymano jako więźnia z czarną maską na twarzy w Bastyli, i którego więzienie pokazywano jeszcze przed zburzeniem tego gmachu, obfitego we wszelkie rodzaje zbrodni.

Przy zburzeniu jego starano się też znaleść w rejestrach klucz do rozwiązania tej strasznej zagadki. Ale wielki rejestr był podarty; karta 120 rocznika 1698, epoki uwięzienia człowieka z żelazną maską, była wydarta i skradziona. Poźniej znaleziono wprawdzie tę kartę w papierach dawniejszego gubernatora Bastyli; ale i z niej niczego się nie dowiedziano, gdyż nie wymieniała ona nazwisko, a w rubryce: „Powód uwięzienia“ — znajdowała się naiwna uwaga: „Nigdy go nie znano.“ Również niedokładnym jest dokument, który dziś jeszcze przechowują w bibliotece arsenału; wymienia on tylko datę uwięzienia i powiada: „We czwartek, dnia 18. września 1698, o 3ciej godzinie po południu, sprowadził p. Saint-Mars, gubernator Bastyli, w swojej lektyce więźnia, którego miał już w Pignerol, a którego nazwiska nigdy nie wymieniono, i który zawsze trzymany był w masce. Saint-Mars, gubernator, usługiwał zawsze sam temu więźniowi. Pewnego dnia rzucił tenże srebrny talerz przez okno, które wychodziło na wodę. Jakiś rybak znalazł go i przyniósł do gubernatora.

— Czy czytałeś to, co jest wyrytem na spodzie tego talerza? — spytał go gubernator.

— Nie — odpowiedział rybak — nie umiem czytać.

Ta odpowiedź ocaliła mu życie, gdyż więzień wypisał całą tajemnicę na talerzu.

Pewien historyk opowiada o innym jeszcze sposobie, jakim próbował więzień ogłosić swoją tajemnicę. Podług niego miał jakiś mnich spostrzedz pewnego dnia pływającą na wodzie koszulę. Wyciągnął ją więc i zaniósł do gubernatora. Na tej

koszuli wypisał więzień całą historyę swoich cierpień. Mnich oświadczył na zapytanie gubernatora, że nie czytał tego, co było napisanem na koszuli; mimo to jednak znaleziono go we dwa dni potem nieżywym w łóżku.

Utrzymują, że rejent Orleanu powierzył swojej córce tajemnicę żelaznej maski. Powieść ta znajduje się dziś jeszcze w archiwach rządu angielskiego, ale nie ma w niej nic pewnego. Oto jej treść:

„Nieszczęśliwy książę, którego wychowałem i do końca mego życia trzymałem w więzieniu, urodził się 6. września 1638 o ósmej godzinie wieczorem podczas obiadu króla Ludwika XIII. Jego brat Ludwik XIV. urodził się w południe, ale gdy świetnie obchodzono jego urodziny, to smutnemi były narodziny drugiego bliźnięcia; król bowiem uwiadomiony, że królowa ma wydać na świat drugie jeszcze dziecię, kazał natychmiast kanclerza Francyi, akuszerkę, pierwszego jałmużnika, spowiednika i mnie zamknąć w swoim pokoju, ażebyśmy byli świadkami tego, co się stanie, gdy się narodzi drugie jeszcze dziécię“.

Wiele, bardzo wiele pisano o tym tajemniczym więźniu, ale nigdy nie wyjaśniono całej tajemnicy. Teraz występuje znowu młody francuzki historyk, M. Topin, który zapewnia, że w sposób najautentyczniejszy i oparty na niewątpliwych dowodach rozwiązał tę zagadkę. Rozwiązanie to przedłożył on akademii umiejętności w Paryżu w opieczętowanym liście, który tylko na jego żądanie może być otworzonym.

P. Topin postąpił bez wątpienia bardzo przezornie, składając rozwiązanie tego strasznego rebusu historycznego w akademii, gdyż mógłby go kto uprzedzić, nim wypracuje swoją rozprawę. Świat jednak pozostanie aż do ukończenia tej pracy tak mądrym, jak był dotychczas.

Z TEKI «CHOCHLIKA«.



Pan Maciej: Już to ja zawsze powiadam, że takiego drugiego głupiego narodu jak żydzi, to nie było i nie będzie.
Mendel: Ny, wie heist, dla czego głupi?
Pan Maciej: Pomyślcie sami panie arendarzu: Nie głupstwo to dać się Mojżeszowi 40 lat wodzić po puszczy.
Mendel: Z psiproszeniem łaski pański. Mojżesz był bardzo mądry człowiek, jeszcze mądrzejszy jak pan Beust, a nie mógł żydziów dłużej wodzić jak lat 40; — żeby wun bul miał Polaków, wun byłby ich wodził do skończenia świata.

Poczta «Strzechy».

W. ks. J. w Krakowcu: Wiersz kuzynki gładki i serdeczny, ale za obszerny na pismo czasowe; może są krótsze. — WPanu *G. w Stanisławowie:* Do artykułu przysłanego upraszamy przynajmniej o szkic opisanego przedmiotu, ażeby można zrobić drzeworyt. — WPanu *M. w Wiedniu:* Rzecz ta nie ma dla polskiej publiczności żadnego interesu.

„Bezimiennej“ część II. p. tyt.: „Drugie życie“ jest już pod prasą i wyjdzie za kilka tygodni. Uprasza się przeto wszystkich Szanownych abonentów „Strzechy,“ którzy życzą sobie nabyć tę II. część po cenie zniżonej tylko dla abonentów „Strzechy“ na 2 złr. w. a., ażeby raczyli przesłać takową do księgarni podpisanego wydawcy.

F. H. RICHTER.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO